

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec

ROK LX

WARSZAWA, DNIA 13 SIERPNI 1927 ROKU

NR 33

TREŚĆ NUMERU: Kobieta pracuje nadmiernie — *Dr. Herminja Naglerowa*. O konieczności zwalczania naszych wad narodowych — *L. Gerlachowa*. Kobiety w powieściach Josepha Conrada — *Zbigniew Grabowski*. Wiersze: „O Ogniu, o płomiennych wstąg kłębie...“, „Nad szmaragdową laguną“, „Błękit nieba“ — *Anna Słonczyńska*. Matylda Serao — *N. J. Zepsuty plan* — *Halina - Maria Dąbrowska*. Kaczęta (powieść) c. d. — *W. Miłaszewska*. W ojczyźnie Miłośników Świeżego Powietrza — *Han. Skar.* Kobieta w świecie i w domu — *R. C. H.* Z teatrów — *S. P. O.* Z książek — *W. B.* Szkoły gospodarcze — *Zofja Miszewska*. Kilka uwag o kotach — *M. Trybułski*. Pszczoły — *W. D.* Bądźmy praktyczne. Wino owocowe czerwone — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korrespondencje. Dodatek „Mody i roboty“: Suknie z woalu — *Well*. Sukienki sportowe robione na drutach. Dodatek powieściowy: „Poławiacz dusz“ — *Douglas Goldring*, autoryzowany przekład *Haliny Gromadzkiej*. Tablica kroju.

KOBIETA PRACUJE NADMIERNIE

Kilkakrotnie na tem miejscu stwierdzałam teoretyczność równouprawnienia kobiet, przyczem wskazywałam na niesprawiedliwe i krzywdzące ustosunkowanie się do pracy, fachowości, uzdolnień i zasług kobiety. W logicznym następstwie takiego stanu rzeczy idzie marnowanie żywotnych, świeżych sił, co, oczywiście, nie może wyjść na korzyść całokształtu wysiłków energii społeczeństwa.

Jednakże, dążąc do bezstronnego ujęcia kwestji kobiecej, nie możemy ominąć ważnego zagadnienia, które dziś już budzi poważne zaniepokojenie wśród kobiet pracujących, a zwłaszcza wśród kobiet, pracujących umysłowo. Zagadnienie to dotyczy powszechnego zjawiska, jakim jest przeciążenie kobiet różnolitymi obowiązkami.

Jakkolwiek, bowiem, nie każda dziedzina pracy i nie wszystkie szczeble stanowisk są nam dostępne, to jednak współczesna kobieta nie ogranicza się li tylko do zajęć domowych, i niemal 75% kobiet pracuje poza domem, jako biuralistki, nauczycielki, lekarki i t. d.

Już to właśnie, że stało się niejako zwyczajem, a nawet obowiązkiem, aby kobieta zarobkowała, — należy uważać za zwycięstwo niektórych pozycji z długiej listy postulatów, wysuwanych przez kobiety, walczące ongiś i dziś o równe prawa. Nie od rzeczy jednak będzie przypomnieć, że podczas gdy proletarjat domagał się praw politycznych, przy jednoczesnym żądaniu zmniejszenia ciężaru pracy (np. ilość godzin pracy, odpoczynek niedzielny), kobiety, przeciwnie, szły w kierunku zdobywania nie tylko praw politycz-

nych, ale i — prawa do pracy. Bojowe hasło kobiet: „Chcemy pracować!“ — było wcześniejsze od żądania praw obywatelskich. Widzimy, że w kolejnym zdobywaniu placówek kobieta rozpoczęła od żądania dla siebie jednakiego stopnia nauki, a więc wstępu do szkół średnich i do uczelni wyższych. I przyznać trzeba, że taki program emancypantek był ze wszech miar racjonalny, że ponadto dawał świadectwo istotnemu zrozumieniu braków, które niedostatecznie oświeconej kobiecie przeszkadzały do pełnego korzystania z praw politycznych.

Wśród zacieklej walki o naukę i pracę, kobieta-bojowniczką przez długą chwilę zlekceważyła jakby dotychczasowy zakres pracy kobiecej, a może nawet w ferworze bojowym nie dostrzegła, że bierze na siebie nowy trud, nie mogąc zrzucić ze swoich ramion obowiązków pracy domowej. Młody zapał wyolbrzymiał niejako siły. Pierwsze entuzjastki nie miały obaw, ani wątpliwości, że kobieta potrafi podołać pracy zawodowej i zajęciom, których domaga się dom i życie rodzinne.

Nikt wtedy nie brał pod uwagę tych rozlicznych, drobnych choćby, zajęć, tych bezustannie absorbujących spraw, dotyczących organizacji domu i jego żmudnej administracji. Nie mówię już o wychowywaniu dzieci, bo nad tem zastanawiano się, bodaj ubocznie, nawet w dniach najgorliwszej walki emancypacyjnej.

Ten — powiedzmy szczerze — zasadniczy błąd pierwszych bojowniczek, wynikł jednak w znacznej

mierze z odnoszenia się mężczyzny do pracy domowej kobiet. Mężczyzna bagatelizował sobie owo gospodarskie krzątanie się, pogardzał ciasnym horyzontem swojej żony, czy matki, drepcącej od rana do wieczora wśród gałganków, szczotek, garnków i robotek. Który z „panów domu“ zadał sobie tyle trudu, by zebrać, zesumować bezlik prac kobiecych, owe szczegóły i szczególiki, składające się na całość, t. zw. gospodarstwa domowego? Kto kiedykolwiek rozważył te śmiesznie małe sprawy, związane z czystością i higieną mieszkania? Kto z was, panowie, odnosił się do „wielkich porządków“ i „dużego prania“ inaczej, jak z drwinami, albo z niecierpliwą, mało wyrozumiałą niechęcią?!

Nie będzie paradoksem, gdy powiemy, że pogardliwy stosunek mężczyzny do gospodarskich zajęć kobiety był tym pierwszym bodźcem, który pchnął ambicję kobiet w kierunku emancypacji. Wśród swędu kuchennego i podczas ścierania kurzów zrodziła się w kobiecie idea wyzwolenia się z tych małych, nieuznawanych przez nikogo, prac — do szerszego i bardziej w oczach świata wartościowego, bardziej widocznego, zużytkowania swoich zdolności. Prawdopodobnie też wytrwałe i uparte przekonanie mężczyzny o jego bezwzględnej wyższości opiera się na atawizmem przekazanej pogardzie dla kobiety, która mogła „włożyć całą duszę“ w mało warte zabiegi wokół gospodarstwa domowego.

I tak stało się, że kobieta wywalczyła sobie wreszcie prawo do takiej pracy, jaką wykonywał dotąd jedynie mężczyzna. Ponadto, wskutek wstrząsu ekonomicznego po wojnie światowej, kobieta musi zarobkować narówni z mężczyzną, który sam nie może podjąć ciężarom utrzymywania rodziny. Dziś w sferach niezamożnej inteligencji prawie niema rodziny, w którejby żona nie pracowała zarobkowo.

A teraz zróbmy bilans zajęć męża-urzędnika i żony-urzędniczki:

Mąż—poza swoją pracą zarobkową—nie interesuje się niczem w domu. Musi mieć obiad na czas, bieliznę w porządku, dom czysty i miły, żonę gotową do usług. Wszystko musi iść składnie, jak za dziadkowych i pradziadkowych czasów. Natomiast żona, odbywszy swoją pracę w biurze, nie może liczyć na niczyją troskliwość we własnym domu, na niczyją w rękę w zarządzie gospodarstwem. Tak właśnie, jak babka i prababka, musi myśleć o cerowaniu bielizny i skarpetek, o dysponowaniu obiadów, smażeniu konfitur i rachunkach ze służącą. Odrazu z zawodowych zajęć musi przejść na odmienny teren pracy: zagłębić się w problemy gospodarstwa domowego, rozwiązać trudne dziś zagadnienie budżetu i niemniej trudną kwestję służby domowej, zawsze jeszcze u nas niewykwalifikowanej i nieodpowiedzialnej.

Sprawa komplikuje się dla żony jeszcze więcej, gdy są dzieci. Nigdy przecież najtroskliwszy nawet

ojciec nie spełnia przy dzieciach tych służb, jakie musi wykonywać matka.

Idźmy jednak dalej.

Wartki nurt życia politycznego i społecznego domaga się od obywateli żywego uczestniczenia. Obowiązki obywateli są wielorakie, a ich zainteresowania w państwach demokratycznych są coraz szersze. Zarówno mężczyzna, jak i kobieta, biorą jednaki udział w życiu politycznym. Zrozumiałe jest, że kobieta nie chce i nie powinna usuwać się od wykonywania obowiązków społecznych i politycznych. Musi więc pomieścić i ten zakres zajęć w szczupłych ramach czasu, wypełnionego po brzegi biurami i domem.

Szkicuję tu tylko pobieżnie ogrom prac, jakim musi poddać się kobieta.

Ale już z tego niedokładnego zestawienia wynika jasno, że trzeba Herkulesowych sił fizycznych i niezmożonej wytrwałości umysłu, oraz nerwów, aby jako tako dać radę tym wszystkim zajęciom. Przyczem nie wolno zapomnieć o tem, że kobieta ma obowiązek być jaknajdłużej urodziwą, młodą, dobrze ubraną, musi „umilać“ mężowi życie, „rozjaśniać“ dom, mieć walory towarzyskie i t. d.

Naprawdę zdumiewa wszechstronność kobiety. I naprawdę—nie wolno jej już czynić zarzutu, że nie wypełnia wszystkich swoich obowiązków z dokładnością i precyzją. A jednak coraz częściej słyszy się narzekania na kobietę dzisiejszą. Mówi się z przekąsem, że jej praca w biurach i zawodach jest mało wydajna i mniej wartościowa, że gospodarstwo domowe szwankuje, że dzieci nie mają dostatecznej opieki. Wszystko to być może, a nawet dziwić się należy, jeżeli tak nie jest.

Rozważywszy taką mnogość obowiązków współczesnej kobiety, nie zmierny jednak do konkluzji, że kobieta powinna wrócić do zajęć, związanych wyłącznie z domem. Nie byłoby to pożądane z przyczyn, których już wyliczać niema potrzeby, gdyż znamy je wszyscy aż nadto dobrze. Nasze wnioski będą więc inne: sprawiedliwe — choć „bezcelne“! Oto sądzimy, że domem powinni się w dzisiejszych warunkach zająć w równej mierze mężczyzna i kobieta. Trzeba sobie, prosto, wzajem pomagać w tych wszystkich drobnych, niepokaznych, a jednak koniecznych sprawach gospodarstwa domowego. Mężczyźni nie powinni takiego postawienia kwestji uważać za coś poniżającego dla siebie. Raz dlatego, że gospodarstwo domowe nie jest zajęciem, przynoszącym ujmę, a powtóre, że owa rycerskość mężczyzn wobec kobiet, która dziś niema już zastosowania i stała się czczą formą, przybrałaby charakter bardziej realny, nowoczesny i bardziej płynąłaby z serca. Bo cóż z tego, że dobrze wychowany mąż całuje żonę w rękę, kiedy pozwala, aby ta ręka pracowała ponad siłę?!

Sądzę, że apel do mężczyzn, aby zdjęli z ramion kobiet część ciężaru gospodarstwa domowego

nie napotka na brak zrozumienia. Ale jest tu też coś do zrobienia na przyszłość: trzeba bowiem, aby młodzież męska była wychowywana w ten sposób, żeby dziedzina gospodarstwa domowego nie była jej obca. Przecież szycie, gotowanie i t. d. nie jest zajęciem jedynie kobiecym, skoro mamy krawców i kucharzy. Ponadto wartoby też zastanowić się u nas nad amerykańską gospodarką domowego, nad wprowadzeniem Taylorizmu, który jedynie może zreformo-

wać wielką, skomplikowaną, a przestarzałą już maszynę gospodarstwa domowego.

Rzucam tych kilka myśli pod rozwagę zarówno kobiet, jak i mężczyzn, gdyż nie ulega wątpliwości, że takiego nadmiaru pracy, jaki teraz obciąża kobiety, znieść niepodobna bez uszczerbku na zdrowiu fizycznym i psychicznym. Może się to odbić na przyszłych pokoleniach w sposób bardzo szkodliwy.

Dr. Herminja Naglerowa



L. GERLACHOWA

2

O KONIECZNOŚCI ZWALCZANIA NASZYCH WAD NARODOWYCH

Od czasu uzyskania niepodległości narodowej nieustannie słyszeć się dają utyskiwania na właściwą nam lekkomyślność, niesłowność, lenistwo, nieposzanowanie cudzej własności, opieszałość i niedbalstwo w załatwianiu wszelkich spraw i interesów; na nieumiejętność zorganizowania pracy i małą jej—wskutek tego—wydajność; na niepraktyczność różnych przepisów i zarządzeń, skomplikowanych bez żadnej potrzeby; na nieposzanowanie czasu swego i cudzego i na złą gospodarkę, jaka z tych rozlicznych wad i niedomagań wynika.

Zła gospodarka pociąga zawsze za sobą marnowanie nie tylko pieniędzy, ale również wysiłków fizycznych i dóbr moralnych, bo obniża wiarę we własne siły i niszczy nadzieję lepszej przyszłości. — Prawda to oddawna znana i uznana. Rzecz więc dziwna, że w chwili, gdy odradzający się naród powinienby wyteżyć wszystkie swe siły, aby w intensywnej i twórczej pracy osiągnąć dobrobyt społeczny i zaspokoić naglące niedomagania ekonomiczne, prawodawstwo nasze nie tylko poszło po linii zmniejszenia ustawowego godzin pracy dziennej (8-mio godzinny dzień roboczy), ale nawet ustanowiło kary dla tych, którzy chcą i mogą pracować dłużej.

Objaw to tem dziwniejszy, że przodujące w kulturze, oddawna doskonale zorganizowane i bogate państwa zachodnio-europejskie na takie luksusowe marnowanie czasu sobie nie pozwalają.

Dla społeczeństwa biednego, będącego w stadium zagospodarowywania się nanowo, zła gospodarka ciągnie za sobą nieobliczalnie wprost straty: —

niszczy dobrobyt, a temsamem opóźnia zdobycie niezależności materialnej, która jest, przecież, zarówno w życiu poszczególnych jednostek, jak i w życiu narodów, podstawą niezależności wogóle.

Wady, których rezultatem jest ta właśnie zła gospodarka społeczna, istniały w nas i dawniej, ale nie obchodziły one nikogo tak żywo wtedy, kiedy nie braliśmy udziału w życiu publicznym. Odsunięci od spraw państwa przez rządy zaborcze, ponosiliśmy konsekwencje naszych wykroczeń tylko osobiście i nie robiliśmy nimi krzywdy innym, lub robiliśmy ją w mniejszym, niż dziś, zakresie. Nic też dziwnego, że wady nasze były wtedy naszą prywatną sprawą, do której się nikt nie wtrącał, bo nikogo ona obchodzić nie mogła i nie obchodziła.

Obecnie sprawa ta przedstawia się inaczej. Ludzie, dawniej pracujący jedynie dla korzyści osobistych, obejmują dziś nieraz stanowiska, na których mają możność wpływać na sprawy, od których nawet losy całego kraju zawisły. Jeżeli do tej działalności publicznej wnoszą swe dawne wady, wady te przestają być ich prywatną sprawą, stają się one, niestety, ogólną klęską społeczeństwa i źródłem jego nieszczęść. Im wybitniejsze jest, im szersze kręgi życia społecznego obejmuje stanowisko, na którym znajdzie się taki upośledzony pod względem umiejętności i dobrej woli osobnik, tem szkoda, jaką przynosi, jest donioślejsza. Ale i drobne pionki na szachownicy publicznego życia i społecznego bytu przyczyniają się bardzo—choćby przez swoją liczebną przewagę—do dodatniego, czy ujemnego rezultatu wy-

konywanej przez nie pracy. Całość, sprawnie działająca, to jakby wielki, skomplikowany mechanizm, w którym potężne koła i tłoki poruszają się równocześnie z małymi, misternymi kółkami i sprężynkami. Każda, choćby najdrobniejsza, cząstka tego mechanizmu niezastąpiona jest i nieodzowna. Brak jej, lub złe funkcjonowanie, odbić się musi na działaniu całości, bo gra ona w tem działaniu swoją konieczną rolę i zlekceważona być nie może. — Tak samo zły pracownik na podrzędnym stanowisku wprowadza zamęt niedokładnym wykonaniem powierzonego mu zadania i przyczynia się do złego funkcjonowania instytucji, w której pracuje.

Narzekania, jakie słyszymy nieustannie, słuszne są, niestety. Nietylko wielu rzeczy robić nie umiemy, ale i te, które umiemy, robimy często niedbale, opeiszale, bez zamiłowania, płynącego ze świadomości, że praca, którą wykonywamy, oprócz zarobku, jaki nam przynosi, ma jeszcze wartość społecznego czynu, rodzącego ogólną stratę, lub pożytek. Poznanie własnych błędów, to pierwszy krok do poprawy, ale wtedy jedynie, jeżeli nad środkami, prowadzącymi do tej poprawy, myślimy, staramy się je wynaleźć i stosować w praktyce. Dyskusje nad wspomnianymi wyżej, a powszechnie już dziś wytykanymi niedomaganiem, kończą się zwykle jedynie skonstatowaniem, że źródłem tych niedomagań są nasze wady narodowe. — W konkluzji tej zawiera się jakgdyby usprawiedliwienie zła i pewna czułość w stosunku do niego, bo wada narodowa, to coś jakby wdzięk nasz swoisty, coś, z czem walczyć niepodobna dlatego, że panuje nagminnie. Pogląd taki razi swoją niekonsekwencją: — choroby nagminne, epidemiczne,

zwalczamy właśnie daleko energiczniej, niż te, które występują sporadycznie, bo zdajemy sobie sprawę z ich większego niebezpieczeństwa. Do wad narodowych, a więc powszechnych, obejmujących szerokie kręgi, powinniśmy odnosić się również, jak do czegoś groźnego, co tępić i wykorzeniać każe instynkt samozachowawczy narodu. Poblężanie na tem polu jest conajmniej lekkomyślnością i brakiem przewidywania na dalszą metę.

Do walki z wadami narodowymi i pracy nad ich wykorzenieniem powołane są przedewszystkiem kobiety-matki. W ich rękach spoczywa wychowanie nowego pokolenia i one też mają możliwość wychowania w duszach przyszłych obywateli tych cnót, których brak w ludziach nam współczesnych tak dotkliwie odczuwać się daje. Wykorzeniać to, co głęboko wrosło przez lat szereg, trudniejszym jest zadaniem, niż rzucać nowy posiew w świeżą glebę. O tem, że dobry posiew pożądane wyda owoce, wątpić nie mamy powodu. Świadczy o tem choćby niejednokrotnie zaobserwowane zjawisko, że polacy zagranicą, pracujący, czy to jako kształcąca się młodzież, czy jako pracownicy rolni, lub fabryczni, wyzbywają się wręczce swoich „wad narodowych“ i cenią się przez pracodawców, jako sumienni i zdolni robotnicy. Widocznie wady te nie tkwią w nas zbyt głęboko, kiedy wpływ otoczenia, przykład innych i pewien system pracy, narzucony w nowych warunkach, tak skutecznie leczyć je mogą. Walka więc z niemi nie powinna być zbyt trudna, a pewność zwycięstwa i lepsza przyszłość naszego kraju, jaka stąd niewątpliwie wyniknie, niechaj zachętą będzie tym polkom, które tę walkę zaszczytną podejmą.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

2

KOBIETY W POWIEŚCIACH JOSEPHA CONRADA

Rita, zapatrzona w swój cel, pochłonięta przez swą pasję, dumna i nie zdająca sprawy nawet przed Bogiem, posiada pogański jakby zarys. Kochanek Rity odczuwa to i woła wyraźnie: „Mówisz, jak poganka“. Te same słowa rzuci w „The Rescue“ Travers swojej żonie, która marzy o zupełnem oddaniu się wielkiej namiętności, jako o idealnem wypełnieniu życia. U Arletty z „Korsarza“ dojrzy książdz „coś wyzywająco pogańskiego“; taką pogańską samoistnością, nie opartą na wierze, ni religii, takim bezgranicznem opanowaniem przez pasję, — która urasta do miary

absolutnego nakazu i wystarczającej sobie, metaficznej niemal wartości — odznacza się Freja, żona Gaspara Ruiza, a nawet i napozór bezbarwna pani Verloc, co przez macierzyńską miłość dla biednego idjoty Stevie posuwa się aż do zbrodni. W tym sensie poganami są mężczyźni Conrada, borykający się z losem i wyrokami mrocznych bóstw, tworzący ludzkie prawo na ziemi, gdzie panuje, być może, jakaś „poetyczna sprawiedliwość“.

Odnosnie do postaci kobiecych podkreśla Conrad ich symboliczne, tajemne znaczenie. Kobieta

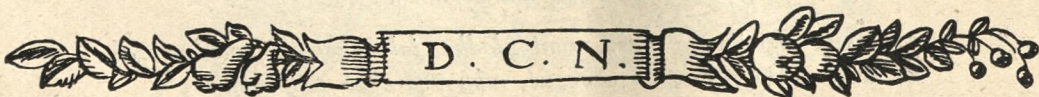
wyraża u Conrada — nie tracając w niczem swej osobowości — wieczyste siły, które pociągają, a nie-raz i druzgocą mężczyznę. W oczach Hervey'a („Powrót“) urasta w pewnej chwili jego żona do zagadkowego symbolu; bohater „Arrow of gold“ widzi w Ricie jakąś fatalność żywiołu: wydaje mu się być niezniszczalną i wieczną, a w nieruchomości jej widzi jakby posągowość bóstwa. Porównania, jakie przychodzą bohaterowi tej powieści na widok Rity, tchną przestrzenia i kosmika: nie są to częste porównania miłości, podnoszące małość i pieśczość przedmiotu miłości, ale wielkie rozmiarem obrazy, odpowiadające ogromowi ujęcia postaci. Podobnie dla Lingarda żona Travers'a („The Rescue“) jest wcieleniem nieśmiertelnej mocy. Kobieta, w której silniej, niż w mężczyźnie walczą proste, a sprzeczne impulsy, budzi właśnie dlatego trwogę, że jest czemś bardziej nieopanowanym i pierwotnym. W „Chance“ mówi Conrad z ironją, że mężczyźni się zdaje, jakoby ujarzmił kobietę tak, jak energję elektryczną: ale cóż w istocie wiemy o samej elektryczności? Kobieta nie zaplatała się w subtelnosci męskiego myślenia, praw i honoru: „skomplikowane niedorzeczności mężczyzn wpłynęły decydująco na niewieścią etykę“.

Instynkt, którym kierują się kobiety, spoczywając z daniem Conrada — na prastarych podstawach, podczas gdy obyczaje, sądy i przekonania ludzkie, a wreszcie i nauka—podlegają ustawicznej zmianie. Kobiety Conrada patrzą często na mężczyzn, jak na dzieci, uganijające się za złudą sławy, wytworami tęsknoty, za pragnieniem społecznej sprawiedliwości, czy przemiany. Nina wie, ile z dziecka ma w sobie Dein; Freja wręcz kieruje Jasparem; narzędziem prawie w rękach swojej żony jest Gaspar Ruiz; matczyne odruchy ma wobec kochanka — Rita, podobnie Aïssa wobec Willemsa.

„Kobiety“, mówi Conrad w „Gasparze Ruizie“, umieją wznieść się na takie wyżyny poświęcenia, jakie niedostępne są nam, mężczyznom, albo spaść na samo dno poniżenia, niepojęte dla naszych męskich przesądów“. W twarzach dziewczyn, występujących w lichym kabarecie („Victory“), dojrzy Heyst jakiś ślad patosu: rodzi się on z poniżającej zależności ich zajęcia, ciągłego wymuszania z siebie wesołości, gdy wokoło jest wrogość i obcość, z beznadziejności ich zmarnowanego, pomiatanego istnienia. I nie jest to przypadek, że samotnik Heyst spotyka Lenę, dziewczynę, pogrążoną w strasznej pustce, pozbawioną domu, jasnych chwil przeszłości i oparcia o bliską duszę. Lena rozkwita przy Heyście w spokoju i trosce o ukochanego, która pasuje ją na człowieka. W uniesieniu miłości spełnia się samoofiara Leny: to rozplomienie miłości i ofiara są sprawami, w któ-

rych kobieta wznosi się najwyżej. Miłość wzmagą w kobiecie potrzebę poświęcenia, natomiast w mężczyźnie—zmysł działania. Miłość Aïssy dodaje Willemsowi siły do zrealizowania swego planu zemsty; Arsatowi bliskość kobiety każe szukać kraju, gdzie nie sięga dłoń śmierci; dla bohatera „The arrow of gold“ uczucie dla Rity jest rewelacją i wzbogaceniem życia; miłość jest motorem działania Jaspiera i Gaspara Ruiza; dla Renouarda oczy Felicji nadają „nowe znaczenie życiu“; nawet Heyst czuje się jakby odrodzony przez uśmiech i ufność Leny. Miłość angażuje nie tylko zmysłową wrażliwość bohaterów, ale wkracza głęboko w życiowe pragnienia: w chęć realizacji bezwzględ- nego zrozumienia. Toteż katastrofa miłości jest zarazem rozpętanem się nieporozumień, odsunięciem indywiduum w twardą samotność. Ponosi klęskę wewnętrzna nasza wizja, która jest często realniejsza, niż osoba kochana. Bohater „The arrow of gold“ powie w pewnym momencie Ricie, że jej postać jest—złudzeniem prawdziwej ciebie, która jest we mnie“. Wyobraźnia jego wzmagą tę wizję, która dla męczennika wyobraźni Karaina stała się upiornym niemal nawiedzeniem: z chwilą, gdy ujrzał kobietę, co kazała mu tak nieludzko tęsknić, opuściła go jej nieustanna obecność. Willems, ujrawszy Aïsse, jest jakby urzeczony jej osobą i żyje w jakimś obłąkaniu; Renouard wyczarował sobie wizję jedynej kobiety—Felicji, a gdy ta okazała się złudą, odchodzi, nie mogąc wyrzec się swego marzenia. Żywą udręką jest dla Arsata czas czekania na chwilę porwania ukochanej, która zawładnęła nim zupełnie i sprawiła, że jakby przez pół tylko należał do siebie. U Conrada miłość wybucha od pierwszego wejrzenia, by dać strawę wyobraźni, która gorączkowo buduje własną wizję. Od pierwszego spojrzenia poczyna się uczucie dla Aïssy; Arsata dla kobiety z pałacu radzy; bohatera „Arrow of gold“ dla Rity; Heysta dla Leny; taki jest początek namiętności kapitana z „Uśmiechu szczęścia“, afektu Jima i Razumowa.

Kobieta zapala w mężczyznach Conrada skłonności i pasje, które w nich leżą ukryte, w oczekiwaniu na ten „ogień niebieski“. Miłość jest więc przede wszystkim pełnią naszego wnętrza, zwróceniem się w siebie, pracą niespokojnej wyobraźni. Dlatego Karain „wierny swej wizji, oszukany przez marzenia, odepchnięty przez złudę“, jest jaskrawym symbolem miłości bohaterów Conradowskich, która rośnie w sobie na łożach tęsknoty, a nie kształtuje się na podstawie i nie dopuszcza przyzwyczajenia, odbierającego miłości jej świeżość i dziw. Hervey („Powrót“), którego namiętność została zaspokojona, staje w chwili zawalenia się starego ładu w obliczu niewygasłych pragnień.



ANNA SŁONCZYŃSKA

O OGNIU: O PŁOMIENNYCH WSTĄG KŁĘBIE...

O Ogniu: o płomiennych wstąg kłębie, o splątane w węzeł szkarłatne źmije,
o gorący purpurowych róż pęku, z których wicher bukiety swe wije,
o ponsowa parząca fontanno, której usta nie śmia dotknąć niczyje,
o niskie, złe słońce, co czerwonym sztyletem — ciemności nocy przeszyje!

O Ogniu: o suchych, zaciśniętych ust ziemi — najwymowniejszy języku,
o kolorowy namiętny huraganie, cały w skrach, i w pasji, i w krzyku,
o gniazdo drapieżnych szerszeni, które wciąż w górę wyfruwają wśród syku,
o wielka żywa rano, co wrzącej krwi krople w oczy nam ciska bez liku!

O Ogniu: o żądzo miłosna, co jak z wulkanów, z wstrząśniętych serc wybucha,
o klątwę nienawiści, z której cała ludzkość ślepa się staje i głucha,
o bólów ziemskich palące pytanie, na które odpowiedzi świat słucha,
o chwytający w uściski piekła — nieugaszony buncie Złego Ducha!!!

NAD SZMARAGDOWĄ LAGUNĄ

Owe szmaragdy roztopione zowią się laguną.
Po ich płynnem ciemnozielonem szkle gondole suną.

Owe szmaragdy, chociaż żyją, lecz obce są zgiełkom.
Tylko wiosła każą z nich zrywać się mokrym perełkom.

Owe szmaragdy miękką taflą są o licu płaskiem.
Zmierzch szlifuje ją cieniami, a dzień szlifuje blaskiem.

Owe szmaragdy tworzą gęstość najcięższego płynu.
Czasem zorza wleje im żywszą kropelkę rubinu.

Owe szmaragdy mają w nocy czarność atramentów.
Wtedy księżyc macza w nich długie swe ramię — z djamentów.

BŁĘKIT NIEBA

Błękit nieba czasem wisi nad światem nisko, jak lazurowy dach,
i cięży nam tak, że poprostu aż przyciska do ziemi —

a czasem znów wieje nad nami lekko, cały w niebieskich swoich mgłach,
i, niby oddech, w górę wciąga skrzydłami najcichszemi.

Błękit nieba czasem ma w sobie śliskiej, turkusowej kopuły chłód,
od której modlitwa odskakuje, jak o głaz rzucona —

a czasem wydobywa z siebie jasny, szczery, rozkoszny ciepła cud
i bierze nas w swoją niebieskość, jak w otwarte ramiona.

Błękit nieba czasem aż cały huczy od obłoków: spienionych fal,
które gna, jakgdyby był morza rozhuśtaniem szalonem —

a czasem rozwija się przed nami gładko, jak przejrzysty modry szal,
za którym Boga można przeczuć, niby twarz za welonem...

MATYLDA SERAO

Umarła „A Signora“.

Tą nazwą, łączącą w sobie znaczenie damy i kobiety, w najpiękniejszym rozumieniu tego słowa, tytułował cały świat literacki Matyldę Serao.

Umarła na stanowisku, nie przestając, pomimo siedemdziesięciu dwu lat wieku i rozwijającej się od pewnego czasu choroby, arterjasklerozy, ani na chwilę pracować.

Wysłała wieczorem, jak codziennie, rękopis do drukarni „Mattino“, poczem usiadła na fotelu, z książką w rękę, i spokojnie, cichutko, w tej chwili wytchnienia po całodziennej pracy, znalazła spoczynek wieczny.

Matylda Serao była z wychowania Greczynką. Urodziła się w Patras, dokąd ojciec jej, neapolitańczyk, wyemigrował w interesach. Matka jej, Paulina Boneli, pochodziła ze starej rodziny maltańskiej, wywodzącej początki swe z Grecji. Kobieta, wysoko wykształcona i rozmiłowana w literaturze i sztuce, wszczepiła córce ukochanie kultury greckiej i arcydzieł wszechświatowej literatury. Siedmioletnia Matylda uczyła się czytać na tragedjach Szekspira.

Bardzo młodo, dzieckiem prawie, wróciła do Neapolu z rodzicami, którzy w tym czasie doznali ciężkich przejść i strat materialnych. Matka rozchorowała się ciężko. Mając lat 15, Matylda Serao skończyła seminarjum nauczycielskie, ale, mimo uzyskania patentu, nauczycielką nie została. Po śmierci rodziców, wstąpiła w 18 roku życia na służbę państwową, jako... telegrafistka.

Przez cztery lata pracowała w telegrafii, zarabiając 80 lirów miesięcznie. W wolnych od urzędowania chwilach pisała. Najpierwsza jej nowela: „Opale“, drukowana w „Corriere del Mattino“ pod pseudonimem „Tuffolina“, zwróciła uwagę czytelników i kół literackich Neapolu. W tym czasie wychodził tam dziennik, „Capitan Fracassa“, skupiający całą elitę pracowników umysłowych, między innymi pisali doń d'Annunzio i późniejszy mąż Matyldy, Edward Scarfoglio. Tam zaczęła pracować młoda pisarka, której ambicją było zostać prawdziwą dziennikarką i współredaktorką. W „Capitan Fracassa“ prowadziła Serao kronikę, podpisując ją jako „Chiquita“. To zamiłowanie do pracy redakcyjnej nie opuściło już wielkiej pisarki. Wielka jej płodność literacka, ogromny sukces jej powieści, nie oderwały jej jednak nigdy od

redaktorskiego biurka. Potrafiła pogodzić te oba rodzaje twórczości.

Potrafiła jednak więcej jeszcze. W 1885 r. zaślubiła Matylda Serao swego kolegę redakcyjnego, Edwarda Scarfoglio. Z małżeństwa tego miała pięcioro dzieci: czterech synów i córkę. I obok nieustannej pracy literackiej znajdowała czas na obowiązki domowe, wychowywała troskliwie dzieci i utrzymywała liczne stosunki towarzyskie, gdyż dom państwa Scarfoglio był ośrodkiem życia umysłowego w Neapolu. W tym czasie wyszły jej powieści: „Dal vero“, „Raccolta Minima“, „Cuore Inferno“, „La virtu di Cecchina“, oraz wspaniały „Neapol“, którego realizm i epiczne ujęcie przypominają „Rzym“ Zoli.

Wkrótce potem założyła Matylda Serao razem z mężem dziennik „Mattino“, który stał się najulubieńszym pismem całego świata towarzyskiego Neapolu i który prowadziła aż do ostatnich chwil.

Świat neapolitański też odbija się najplastyczniej w powieściach Serao, jak „Życie i przygody Joanny Riccardo“, ilustrujący osobę samej autorki, „La Ballarina“, „Eviva la vita“, „Addio Amore“. Każde zjawisko społeczne znajdowało strunę odpowiadającą w jej twórczości; z epoki walk i dyskusyj o rozwody we Włoszech powstała jej piękna powieść „Rozwód“.

Dusza kobiety, jej psychika, jej stanowisko w rodzinie i społeczeństwie, stanowiły zawsze zaczyn twórczy powieści Matyldy Serao. Talent jej szedł po drodze szerokiego realizmu w odtwarzaniu życia, realizmu, który stanowił ogromną siłę atrakcyjną jej prac. Ale nie był to — wbrew zdaniu niektórych krytyków i pewnym powierzchownym reminiscencjom, realizm Zoli. Był psychologicznie o wiele głębszy, a stylowo o wiele mniej brutalny i zawsze artystyczny w ujęciu odtwarzanego tematu.

Kto wie, jak wiele jest jeszcze w życiu towarzyskiem i rodzinnym Włoch starych obyczajów, prawie przesądów, jak trudne jest w tem środowisku życie kobiety, dążącej do samodzielności, — ten zrozumie, ile niezmordowanej energii zużyć musiała Matylda Serao na zdobycie, tyle lat wstecz, takiego stanowiska. Jest ona najlepszym, żywym przykładem, że talent i silna wola zwyciężą wszystkie przeszkody i odniosą triumf nad wszystkimi przeciwnościami.

Opinia publiczna całych Włoch oplakuje dziś zgodnie największą włoską powieściopisarkę. N. J.



HALINA-MARJA DĄBROWOLSKA

ZEPSUTY PLAN

Przyjechali do miasta obcego, białego od słońca. Drzewa tam stały pochylone nad swymi krótkimi cieniami, popielate rzeki ulic rozchodziły się od ludnych placów promieniami gwiazdy.

Ominęli hotele gwarne, zbytek i wygody, nie chcieli tam zamieszkać. Wynajęli małą izbę na przedmieściu.

Dobroduszną włoszką oddała im swój pokój, z woskowymi figurami świętych, ze ścianami pełnymi fotografii krewnych swoich. Na sznurach u sufitu suszyły się uwieszane winogrona. Pomidory drobne, po kilkanaście na jednej gałązce tkwiły w pęczkach po ścianie. Zielone gruszki fig schły w oknach, a na tarasie festony bielizny.

Rankiem brali z sobą przewodniki, plan miasta, naręcze owoców i szli zwiedzać.

I oto miasto obce zaroilo się od ich własnych miejsc. Kawiarnia pewna, w której jadalni śniadania stała się odrazu „nasza kawiarnią“. Zamiast drzwi, miała ona ruchomą frendzlę z łyka, przewiązanego paciorkami.

Ławka obok mazurka-kwietnika stała się „naszą ławką“. Tam to tasowali przyszłość swą, jak talję kart przeslicznych. Nikt nie mącił im ciszy rozmowy w tej ulicy. Ta ławka ośmieliła ich, że można ze szczęściem swem już nie kryć się, lecz wyjść.

Raz, zagnani ulewą do bramy, poznali nową możliwość. Smutne od zewnątrz, skromne domy włoskie, w podwórzu miały spokój i poezję pustych pałaców. Nie pogardzili tą przynętą. Odtąd czujni byli na chwilę, która skradziona mogła być o każdej godzinie dnia w pustych wnętrzach.

Ulice i kościoły, skwery, zachowali w pamięci nie tylko ze względu na ich widok, lecz także na ich barwę, zależną od chwili zgody, czy kłótni.

Ten sam plac mógł mieć coraz to inny kolor we wspomnieniu.

Wieczorami, wracając do swej izby, unieść nie mogli sieci połowu zdarzeń, tak ich było wiele.

Nie zaniedbali, jednak, jednego wysiłku. Oto, przed pójściem na spoczynek, Jan czytał z różnych książek komentarze do tego, co widzieli. Ona pochylała się nad rozpostartym na stole planem miasta. Małymi szpilkami, których główki ozdabiały kolorowe chorągiewki, znaczyła drogi przebyte. Stawiała je nie tylko tam, gdzie był kościół, czy pomnik, galerja i plac zwiedzany, lecz oznaczała także miejsca, gdzie chwyтали zdyszanego ptaka pocałunku, gdzie, zmęczeni przysiedli, żeby posłuchać, na jaki nowy brzeg uczuć wyrzuci ich fala miłości. Chorągiewkę wpięła

przed gmachem parlamentu, gdzie jej ofiarował maluchne, białe, ranne pantofelki. Zaułek pewnego ogrodu oczom zrobiła widomy barwą czerwoną — tam to kwiaty zwiędły za jej broszką. Tak znaczyła drogę wspomnień.

Jan śmiał się i psuł jej misterną robotę, ale go zwolna przyzwyczaiła do tej wieczornej zabawy. Już teraz sam pomagał dobierać barwy, odpowiednie do chwili, sam przypominał miejsca zdarzenia.

Tak malowali nową mapę swego szczęścia na czarnych linjach planu. Dzień po dniu poznawali miasto: Ogrody z wielkimi liśćmi platanu, który już opadał, i mgła oliwek popielata, słodka od zapachu, — były im najlepszymi sprzymierzeńcami. Znajdowali tam miejsca dla szczęścia łaskawe. Krzewy podchodziły do nich, swym zapachem, zaciszem i nawoływaniem ptaków i prosiły, żeby nadali treść miejscom owym. Przebywając na tych polanach, mogła mieć w oczach mijanie po niebie obłoków, a na ustach jego wargi.

Raz wśród pustych, marmurowych schodów na zbyt łąpczywie chwytała winogrona: posypały się jej na szyję, — złowiły je stamtąd jego młode wargi.

Na wieży, dziesiątki pięt nad miastem, mówił jej o wynalazku, nad którym pracował. Objęci, patrzyli pochyleni w przepaść. Małe światelka latarni znaczyły kierunek ulic.

W domu zastawała listy od niego, jakby niedość było jeszcze słów. Spracowane się stały ich ręce od dźwigania darów życia, ciało — od pamięci piękna i rozkoszy, myśl — od ciągłego pojmwania, jak wielką może być radość.

Przecież ranka jednego, który miał tyle słońca, co zawsze, — przyszedł list złowrogi. — I kazała odjechać temu, którego tak bardzo kochała; odjechać bez powrotu.

Wieczorem, jak zwykle, zasiadła, żeby dokończyć oznaczania mapy ich dziejów. Szpilki nie szły w papier. Wzięła ciężki marmurowy przycisk, wbijała je nim powoli. Myślała, czy nie jej to tętnice i żyły są rozpostarte na papierze i może one były drogami, po których chodzili.

Teraz już sama szła oglądać miasto. Strasznie było patrzeć w te same ulice i zaułki. Stały się teraz, jak czaszka, popielate i puste.

Uparcie jednak dodawała nowe wspomnienia do rysunku dawnych i znaczyła szpilkami papier.

Aż nocy pewnej, bezsennej, zdawało się jej, że ją objęły, związały powrozy linii planu miasta, opłoty ją siecią igieł i torturą mąk szczególną. W noc tę,

bez snu, poznała, jak straszna jest nad człowiekiem władza chwil pewnych, przedmiotów i miejsc. One to, niejako z niebytu wywołane przez człowieka, nie chcą później odejść w niebyt, — umrzeć.

Zabić w sobie Jana potrafiła, lecz bezsilna była wobec życia duszy, chwil i rzeczy, — one nie chciały zginąć. Gdy już nie miały służyć nikomu, ociągając się, szły w nicość, — skazane na zagładę, lecz potem wracały, przychodziły w pustce nocy zebrać życia.

A gdy nic nie uczyniła, żeby przywołać odchodzącą miłość, — postanowiły zemstę. I pewnej nocy igły, znaczące miejsce chwil szczęścia na mapie, skupiły się w jednym punkcie. Wbiły dziesiątki swych ostrzy w jeden pion, zakwitły wielobarwną różą choroągiewek i zgasły.

Rano włoszka, która przyniosła śniadanie, w łóżku zastała panią umarłą: z przebitego serca wyciekła była krew; lecz próżno eksperci szukali narzędzia, które śmierć zadało, i mordercy...



W. MIŁASZEFWSKA

6

KACZĘTA

(powieść)

Czwartą suknię, jedwabną czarną z Antosinej Adelfia sobie przerabia. Mówiłam, tłumaczyłam, „po co to? Ale, jak sobie Adelfia coś do głowy dopuści, to już jej tego nikt nie wyperswaduje.

— Muszę—powiada—mieć jedwabną czarną suknię. Ciocia to zawsze zapomina, że ja już jestem dorosła.

— Nie zapominam, Adelfiu, niech Bóg uchowa... Tylko... pomyśl sama, poco ci tyle tych strojów na wieś zabierać? Kto to nawet zobaczy? Chyba indyki i prosięta, które siostra Teofila z zamiłowaniem hoduje?

Adelfia odpowiedziała mi prawie że ze złością:

— Już nie cioci rzecz, dla kogo te suknie. Ciocia myśli, że tam już sąsiedztwa niema, czy co?

— Wcale nie myślę, tylko, co to za sąsiedztwo?! Byłam tam całe lato z Mareczkiem, to wiem. Już nie myśl, moja Adelfiu że tam im swojemi sukniemi za imponujesz! Oni nie na ciebie będą patrzyli, ale na twoją kieszeń, a raczej na Teofila kieszeń, bo dzisiaj młodzież to już taka...

Mój Boże! Mimowoli sobie westchnęłam, mówiąc to, a Adelfia zaraz:

— Eee... i wśród dawniejszej młodzieży się zdarzało, że pannom mąż z przed nosa czmychnął, dlatego tylko, że posagu nie miały... Bo podobno była tam i szczerza miłość...

Jak ta Adelfia potrafi czasem dokuczyć! Niby nic, a ja czułam wyraźnie, że do mnie było pite... Pewnie, że pan Kazimierz nie najpiękniej postąpił, że tak bez słowa wyjaśnień, szast prast i już... Ale niechaj to Bóg rozsądzi. Ja do niego żalu nie mam. A za

te kilka lat, cotośmy się kochali i czekali na siebie, to mu będę wdzięczna całe życie.

Widać, nie sążone mi było wyjść za niego, ani jemu ze mną się ożenić, ale żeby pieniądze nas miały poróżnić, to nie!

Kochał się on we mnie prawdziwie i nie mógłby tak strasznie kłamać, przez tyle lat... Pięć lat się kochał we mnie i ja w nim... Nawet ja dłużej, bo on się potem z wędliniarką ożenił, a ja, choć czułam, że to grzech, jakoś odrazu miłości do niego z serca wypłenić nie mogłam... Już to kobiety stalsze w miłości bywają przeważnie, chociaż Teofil i Tomek zawsze przeciwnie twierdzą. Jeszcze Tomek mógłby mieć słuszność, bo go ta lafirynda pewnie w trąbę puści, jeśli go już teraz z kim nie zdradza, ale Teofil?

Wogóle zauważyłam, że mężczyźni często źle mówią o kobietach, choćby w duszy i czuli inaczej. Już to jest ich jakieś „fasa de parole“, jak powiada Adelfia, która szwargocze po francusku i czasem, jak są goście, to się tak popisuje, że co drugie słowo cudzoziemskie do rozmowy wplata.

Z tą Adelfią będzie pewnie kłopot. Ja sama nie wiem, jaka ona jest. Ani rusz rozgryźć jej nie mogę. Czasem wydaje mi się, że ona jest pusta, egoistka, bo tylko o sobie myśli, o swojej zabawie, o przyjemnościach i strojach. Ale czasem znowu myślę, że ją za surowo sądzę. Staś, który z Adelfią jest najlepszym, twierdzi, że w Adelfii jest dużo kobiecości, bo ona ma w sobie kawałek djabła.

Staś miewa czasami poglądy!!! Przecież o Antosi nikt powiedzieć nie mógł, że ona kobiecości w sobie nie ma, a ona była nietylko ładna, jak Adelfia,

(według mnie, to nawet ładniejsza), ale i dobra, jak anioł, i uprzejma dla wszystkich, i nigdy, nigdy nikomu nie dokuczyla.

Antosia od dziecka już miała takie usposobienie, że nie mogła znieść, aby ktokolwiek miał przykrość, czy zmartwienie. Marek po niej ten charakter odziedziczył, bo on także nie znosi koło siebie żadnych smutków, ani kwasów.

To całe przejście z ojcem przed końcem roku szkolnego zupełnie odchorował. I zmizerniał biedaczysko, aż mi się serce kraje, jak na niego patrzę. Zawsze miał buzię różową i krągłą, jak jabłuszko, a teraz przybladł bardzo i twarz mu się bardzo wyciągnęła...

Tomek mówi, że to naturalne, bo on rośnie, jak na drożdżach, to nie może być takim różowem dzieckiem, jak wprzód...

Szkoda, że te dzieci tak prędko rosną i dorodnieją... A jak tylko które z dzieciństwa wyjdzie, to już zaraz jest inne, jakby bardziej obce...

Naprzykład z Markiem. Dawniej, jak był mały, to mu godzinami opowiadałam bajki, a on prosił jeszcze i jeszcze. Nieraz musiałam dobrze w pamięci poszperać, by mu coś nowego opowiedzieć.

Albo przyszedł, jak miałam chwilę czasu i siedziałam z robótką, głowę mi na kolanach położył i tak sobie przemilczał kwadrans, albo i więcej, dopóki rozpędu do jakiej nowej zabawy nie nabrał.

Marek, to było dziwne dziecko. Czasami takie rzeczy mówił, że w głowę zachodziłam, skąd mu się to bierze.

Nieraz, pamiętam, na spacerze w parku, pociągnął mnie Mareczek za rękaw i powiada ni stąd ni zowąd:

— Ciociu, te chmury to tak biegną po niebie, że się chyba zadyszą.

— Gdzieby się znowu chmury zadyszeć miały, mój Mareczku! Chmury nie mają płuc, jak ludzie, więc się nie mogą zadyszeć. To wiatr je tak pędzi po niebie.

A Marek na to:

— Dzisiaj wiatr jest zielony.

Skąd mu się wziął ten zielony wiatr? Prawda, że to było wiosną i drzewa zieleniały, ale żeby wiatr?

Albo znowu patrzy Marek na wodę i powiada:

— O, drzewa się sobie kłaniają, ale tamte w wodzie są smutniejsze. Pewnie im przykro, że nie mogą wyjść na brzeg i osuszyć się w słońcu.

Kto słyszał coś podobnego? Czasami się o Marka bałam, że to jakiś sensat wyrośnie, ale jak zaczął dokazywać, krzesłami szurać, w ręce klaskać, to myślałam sobie:

— Ot, dziecko, jak wszystkie. Niech sobie hałasuje!

Najgorzej, jak się zaczęło z tem malarstwem. Co on mi papieru czystego napsuł, to niech Bóg bronil! ale pozwalałam mu zawsze rysować, gdy zechciał, bo wtedy siedział cicho i chłopcom w nauce nie przeszkadzał.

Bywało, że jak zasmarował cały arkusz dokumentnie, to przyszedł do mnie pokazać, pochwalić się.

— Widzi ciocia? Tu jest dom. A w domu siedzi rodzina i jest dużo, dużo słońca w pokoju. A przed domem rosną kwiaty, o, tu, widzi ciocia? A w każdym kwiatku siedzi złota mucha, tylko jej tu nie widać, bo ona siedzi głęboko...

I tak potrafił opowiadać z godzinę, a na papierze były same gzygzaki.

To ja na wszystko odpowiadałam:

— Dobrze, dobrze!

Albo:

— Widzę, Mareczku, widzę — i robiłam dalej swoje, a Marek promieniał z radości i mówił:

— Ja jeszcze nie to narysuję! Ja narysuję karetę, a w karetie będzie zaklęta królowna, ta, która się ukłuła w palec wrzecionem. Ona już wyszła za królewicza i mieszka w złotym pałacu, a cztery myszki usługują jej przy stole. Prawda, ciociu?

— Prawda, prawda.

Potem Marek rzucał w kąć papier i mówił naprzykład:

— Ciociu, ja teraz będę stangretem, a ciocia niech mię zgodzi, moja ciociu!

— Bądź!

Jak nie powiedziałam tego „bądź“, jak mu nie dałam pozwolenia, to potrafił godzinę molestować. Nieraz chodziłam po domu zaaferowana, to i uwagi nie zwracałam, co on sobie mamrocze, a Marek precz powtarzał:

— Ciociu, ja będę psem! Ciociu, ja będę szczekał i będę pilnował domu! Ciociu, ciociu...

Uprzykrzenie nieraz miałam z tym chłopakiem, ale słodkie to było uprzykrzenie.

Nieraz to mi bardzo tęskno do tych czasów...

15 lipca.

Jak oni się czasem kłócą przy obiedzie, to aż przykro słuchać. A wszystko przez tę politykę.

Za dawnych czasów, — nawet nie tak bardzo dawnych, bo ja przecież znowu taka stara nie jestem, — to dzieciom w głowie nie powstało mieszać się do polityki, a jeszcze krytykować starszych.

Ale teraz na wszystko inna moda.

Staś mówi, że ojciec jest konserwatysta, że ojciec zacofany i że tylko swoich interesów pilnować potrafi, a ojczyzny nie kocha.



H A N. S K A R.

W OJCZYŹNIE MIŁOŚNIKÓW ŚWIEŻEGO POWIETRZA

Korespondencja własna z Londynu

Embarras de richesse... doprawdy, niewiadomo, od czego zacząć! Czy może znowu o sportach,—a więc o najmodniejszym wznowionym po wojnie game'ie, który wprowadza trzeźwych obywateli angielskich w stan szczerzego zachwytu!

Wścigi psów w „White-City“, czyli „Białem-Mieście“;—Greyhounds—to popielato-szare, na oko, mocno zabiedzone charty-szybkobiegacze,—pędzą jak wicher, i nie mogą dogonić chyba tylko zająca... elektrycznego, który, jak żywy, umyka im z przed nosa, i sady dokoła placu, mającego 550 jardów obwodu.

I oto, to samo podniecenie; ten sam barwny, szatający się na wszystkie strony, tłum; te same wysokie stawki i gorączkowe pragnienie wygranej — jak podczas prawdziwych wścigów!

I takie same adorowanie faworyta, który, zziębnięty, mokry, z wywalonym jęzorem, dobiega pierwszy mety, a później długo wymachuje szczerzym ogonem, kontent, że udało mu się dokonać czegoś, z czego i kochany pan, i mniej kochany instruktor, a i wszyscy ci dokoła obcy ludzie cieszą się tak głośno...

Charakterystyczne... psy, dobiegające mety ostatnie, mają miny stanowczo zdetonowane: poczuwają się do winy i wracają z zapasów ze łbem opuszczonym nisko ku ziemi i podwiniętym ogonem. Ostatnio na terenie White-City zgromadziło się, ni mniej ni więcej, tylko 70.000 widzów,—fakt, w kronikach sportowych notowany rzadko.

* * *

Czy może lepiej napisać o tem, co wyprawiwały nie dalej, jak przed paru dniami, „szalone“ angielski, urządzające, ku czci boskiego Valentino, Akademię pośmiertną, w największym kinie londyńskim: Shepherd's Bush Pavilion.

Panny—młodziutki i leciwe,—mężatki i rozwódki, a nawet siwiejące, utytułowane matrony, zbratane wszystkie w nowo powstałym stowarzyszeniu, pod godłem: „Toujours Fidèle“, — „Always-Faithfull“, „Zawsze wierna“...

We wspaniale udekorowanej przez artystów marlarzy sali odsłonięto — przy dźwiękach specjalnego hymnu—popiersie niezapomnianego „Monsieur Beaucaire“, dłuta miss Hyldy Smith. Najserdeczniejszy druh Rudolfa, rodak, Silvio Sideli, przybył z Rzymu, aby zaśpiewać tego wieczoru ukochaną melodię zmarłego:

„Elegie“ Masseneta; najpiękniejsze wiersze aktora widniały wydrukowane na kosztownych programach; wyświetlano film nowy, przedstawiający prywatne życie gwiazdy kinematograficznej; aż wreszcie, zebrana wśród adoratek pięknego Ruddi, pokaźna suma została przeznaczona na ufundowanie nowego szpitala dla malutkich dzieci, za którymi Valentino, pono, przepadał.

— I skąd taka adoracja? I poco zaraz taka przesada i takie cudactwo?—dziwię się szczerze.

— „Dlatego, moje drogie panie“,—odpowie jedna z organizatorek Akademji — „że Rudolf Valentino był pierwszym, a zapewne jedynym mężczyzną w czasach powojennych, który nietylko umiał kochać kobietę, ale umiał ją adorować... uwielbiać, otaczać wszędzie i zawsze niespotykaną dziś czcią. Kobiety, wdzięczne mu za to, adorują go nawzajem i nie pozwalają nikomu ubliżać jego pamięci“...

„De gustibus non est disputandum“— to pewne, ale czy nie dziwne... W wieku, kiedy kobiety zdobyły sobie wreszcie stanowisko, równe mężczyźnie, gdy na Wschodzie gotuje się właśnie od ruchawek feministycznych, 'gdy nawet sam Bernhardt Shaw stwierdził publicznie, że kobieta nie jest jakimś tworem specjalnym: jest tylko „żeńską odmianą tego samego gatunku ludzkiego“—angielski, w ojczyźnie wywalczonego tak żmudnie równouprawnienia, pragną być: adorowane, uwielbiane, wywyższane...

* * *

Albo może nadmienić słów kilka o cudownej amerykance, najmłodszej, bo zaledwie 14 letniej, pilotce, Miss Lilian Dowson, która, przejeżdżając przez Anglję do Paryża, aby złożyć M-me Nungesser kwiaty z rodzinnego miasta Pittsburg, udzieliła następującego wywiadu;

— Pierwszy raz — mówi pilotka, — doznałam wzruszeń jazdy powietrznej, gdy miałam lat 4... gdy ojciec mój, pilot, zabrał mię „na spacer“, bo bardzo kaprysiłam dnia tego. A oto, od roku—po przejściu wszystkich niezbędnych prób i egzaminów — kierując każdym aparatem samodzielnie Ogółem przebyłam 250 godzin w powietrzu, nie doznawszy nigdy najmniejszej przygody... cóż, kiedy amerykańscy policemenowie nie pozwalają mi latać, póki nie skończę 18 lat! Wierzę jednak mocno, że nadejdzie dla mnie

taki szczęśliwy dzień, kiedy przelecę sama nad Atlantykien.

Dopiero po tym czynię—mogę wyjść zamaż.

* * *

Chcę, czy nie, a muszę tu świecić oczyma, — bo nie powiem, żeby to było przyjemnie słyszeć wciąż z ust możnych cudzoziemców, że Polska... no tak... to i owo... ale, powiadają, że brudy u was niesłychane, a brak najprymitywniejszych wygód na każdym kroku daje się odczuć... Że ktoś tam, przed rokiem, sam był zajechał do tego kraju, no i nieprzystojne niechlujstwo widział na kolei, w hotelach, na ulicach (myślę, pocóżby taki gość zazierał „na żydy“, albo i na Wolę?..)

Ugodzona w miłości własnej, odparowuję, jak mogę, owe insynuacje, chwając się wszystkimi innowacjami w naszej stolicy, aż do policjantów też w białych rękawiczkach; ale co tu dowodzić takiemu obywatelowi, który sam jest chodzącą czystością, mieszka w kraju, gdzie—od robotnika do księcia—każdy bierze kąpiel codnia, śpi przy otwartym oknie i jest tak uczciwy w przestrzeganiu czystości, że nikomu do głowy nie przyjdzie kontrolować w tym wypadku służące, a nawet dzieci podrastające.

Angielka podziwiać będzie nasz poliglotyzm (sama włada tylko językiem ojczystym), naszą muzykalność (słynie z tego zagranicą) i nasze uzdolnienia artystyczne—ale podziw jej będzie nieskończenie większy, kiedy dowie się, że nietylko małe „premierki“ odbywają się u nas „at home“.

„Ależ to nie do uwierzenia, w XX wieku! o, co za utrapienie, jaka męka i brudy w domu! Czemuż wy, kobiety, nie weźmiecie tej sprawy w swoje ręce? czemu nie przyczynicie się do założenia, przynajmniej po większych miastach, pralni miejskich, kołając u rządu, lub wkładając własne oszczędności w takie przedsiębiorstwa?“ — Uśmiecham się najgłupiej w świecie.

Oczywiście, o ile według tego—prania w domu—można sądzić o cywilizacji i kulturze danego państwa... to okazuje się, że stoimy jeszcze bardzo nisko. Zascianek Europy.

W związku z tym utrapionym brudem u nas... nie mogę odmówić sobie przyjemności napisania słów kilku, o pewnej parze znajomych, zaprzyjaźnionych

bardzo z domem, w którym mieszkam. Gdy państwo Gibson przybyli do nas poraz pierwszy na week-end z Londynu i, po przebraniu, ukazali się naszym oczom—myślałam, że są to ludzie pomyleni... Że lady, jako że kobieta, była bez pończoch, bez rękawów, w spodniczce za kolanka, a bluzce mocno dekolowanej — do tego przyzwyczailiśmy się dawno; ale, że gentleman ukazał się w stroju niemal kąpielowym: króciutkie spodeńki, nagie łydki, ramiona i szyja... Goście nasi, bawiąc przez dwa dni, paradowali w tych strojach z nami wszędzie: na wycieczki, na tenis, nawet do miasteczka po sprawunki.

A każdy, kto ich spotykał, spozierał najpierw na małe okrągłe blaszki, zawieszane na wstążeczce, na piersiach—a później—niczemu się nie dziwił: para ta należy bowiem do bardzo modnego i rozpowszechnionego tu klubu „Miłośników Świeżego Powietrza“.

Spać przy oknach otwartych, jeść, pracować, a nawet kąpać się i każdej wolnej chwili od zajęć „wietrzyć“ swe ciało i nosić jak najmniej ubrania! — takie są „prawidła“ tego klubu; informowała z entuzjazmem Mrs. Gibson, pragnąc mię za wszelką cenę przekabacić na swoją stronę i chwając się, że przysporzyła klubowi kilkunastu już członków.

Ostatecznie, niebardzo byłoby mi trudno dobrać się do tej pary... gdyby nie deszczyk, który kropił niemiłosiernie od rana do nocy, i termometr, który wskazywał zaledwie 13° ciepła...

Myślałam, patrząc na nich: oto ludzie inteligentni, normalni, nie dziwacy,—mają odwagę cywilną należeć do podobnego klubu i pociągać za sobą każdego, kto się da namówić. I robią to z całym przekonaniem, że robią dobrze.

W stroju miłośników „Świeżego Powietrza“ jest dużo przesady, i ani myślę propagować w naszym kraju podobnej maskarady... myślę, jednak, dlaczego byśmy my, kobiety, podejmując na własną rękę walkę z brudem i niechlujstwem w Polsce, nie założyły jakiegoś podobnego stowarzyszenia z odpowiednią litanją paragrafów, zapożyczając dlań godło klubu londyńskiego, lub ustanawiając jakieś inne, bardziej estetyczne,—aby, wciągając doń coraz większe koło obywateli, przekonywać szersze warstwy społeczeństwa, że słońce, powietrze i woda są najlepszą gwarancją zdrowia, a więc, co idzie z tem w parze—radości życia.

Lipiec — Camberley



Kobieta w świecie i w domu

KOBIETY W SŁUŻBIE POLICYJNEJ W NIEMCZECH

Kobiety współczesne w służbie społecznej powinny starać się przedewszystkiem o zajęcie takich stanowisk, na których mogłyby przyjąć z pomocą dzieciom i kobietom nieszczęśliwym, wykojelejnym przez twarde warunki życia, chorym, lub występny.

Zrozumiały to zadanie kobiety niemieckie, organizując w swoim kraju służbę kobiet w policji.

Kobiety-policjantki mają objąć nadzór nad wszelkimi stosunkami kobiet i dzieci z władzami, policją i prawem. Mają one nie tylko śledzić i tępić przestępstwa, ale jednocześnie, o ile możliwości, starać się nie dopuścić do nich, rozciągając opiekę nad samotnymi kobietami i opuszczonymi dziećmi ulicy.

Już w roku b. w Berlinie, w Kwaterze Głównej Policji Państwowej dopuszczono szereg kobiet do egzaminu na komisarki policji. Kandydatki na te stanowiska winny mieć za sobą pewne doświadczenie w pracy społecznej, ukończenie jednej ze specjalnych szkół dla kobiet, przynajmniej miesięczną służbę wywiadowczo-obszerną na ulicach wielkiego miasta i półroczną praktykę w biurach policyjnych.

Główną Komisarką policji kobiecej w Niemczech została panna J. Erkens, mająca poza sobą służbę czynną w angielskiej policji kobiecej, podczas okupacji Kolonii.

W 80 miastach niemieckich zorganizowano już pierwsze kadry policji kobiecej.

AWANTURY ARABSKIE

Lady Ellen Borough, przed laty małżonka jeneralnego gubernatora Indji, jest bohaterką niezwykle romantycznych przygód. Życie jej mogłoby służyć za pomysł do barwnego obrazu filmowego.

Lady Borough, rozwiódłszy się z pierwszym małżonkiem, wyszła zamąż za pewnego kupca z Aten, pięknego, jak greckie bogi.

Żadnej wrażeń kobiecie nie wystarczyło jednak ani wysokie stanowisko pierwszego męża, ani posągowa piękność drugiego: W poszukiwaniu ciągłych zmian, udała się ona w podróż na pustynię w okolicy Palmiry, gdzie ją beduii napadli i obrabowali.

Szeik plemienia, a zarazem dowódca owych beduinów, sam piękny i młody, zakochał się w angielsce, uwolnił ją z rąk swoich ludzi i zaproponował jej, aby została jego żoną.

Ekscentryczna kobieta zgodziła się chętnie na tę propozycję i osiadła wśród beduinów, jako królowa szejkowego haremu.

Otrzymała rozwód ze swoim greckim małżonkiem, była gubernatorowa Indji do śmierci pozostała wśród beduinów, dzieląc dołę i niedołę ich koczowniczego żywota. W 65-tym roku życia niezwykła ta niewiasta ujeżdża jeszcze najdziksze konie arabskie.

Powyższe przygody awanturnicznej angielski spędzały sen z powiek pewnych dwóch uroczych londyńskich aktorek filmowych.

Cóż my jesteśmy gorszego od lady Borough, powiedziały sobie owe gwiazdki kinowe... i wyjechały z francuską trupą filmową do Arabji.

Wkrótce potem prasę angielską obiegła wiadomość, że młody arabski szeik zakochał się w obu tych dziewczętach i próbował je uprowadzić samochodem na pustynię, gdzie zamierzał pojąć je za małżonki i uczynić królowami swego haremu, składającego się z 80 żon i niewolnic.

Dziewczętom udało się zbiec; wówczas zakochany szeik puścił się za nimi w pogoń samolotem.

Oczywiście, cała ta historia z 1001 nocy istniała tylko w fantazji żądnych reklamy diwetek. Mimo to, w Londynie obudziło się zainteresowanie podobnymi awanturami arabskimi i popyt na... szeików wzrósł.

Jeden z wielkich dzienników londyńskich, celem zasięgnięcia bliższych informacji, co do owego beduińskiego romantyzmu, postarał się o wywiad u Ahmeda beja, Hassana, pierwszego sekretarza króla Egiptu Fuada.

Ahmed bej uśmieł się serdecznie z informacji gazet europejskich o szeikach, — Taki arabski szeik, — oświadczył on, — jest zwykle człowiekiem zupełnie ubogim, któremu nie śni się nawet

o własnych samochodach, a tembardziej o samolocie, i który czułby się szczęśliwym z posiadania na własność kilku wielbłądów.

W całej Arabji niema ani jednego szejka, mogącego sobie pozwolić na luksus haremu, złożonego z 80 kobiet. Wątpię, aby w kraju tym znalazł się szeik, posiadający choćby 3 żony.

Nie mają też oni w pustyni żadnych pałaców, a prowadzą nędzne koczownicze życie w namiotach z grubego płótna.

Powyższy wywiad powinien doszczętnie rozwiać złudzenia ewentualnych naśladowczyń lady Borough.

R. C. H.

LIBERALNY WYROK NA ZACOFANEGO MĘŻA

W żadnym kraju kobiety nie potrafiły sobie tak znakomicie wychować mężów, jak w Ameryce. Małżonkowie tamtejsi względem swoich żon są, poprostu, ideałami rycerskości, względności, uprzejmości i wielu innych, tym podobnych, „ości“.

Podobno wyjątki potwierdzają tylko regułę. Takim wyjątkiem od ogólnej normy doskonałego męża jest niejaki pan B. C. Smith z San-Francisco.

Jegomość ten, oczywiście brutal, jakich mało, a przytem człowiek, zupełnie nierozumiejący ducha czasu, poprostu zabronił swojej żonie ubierać się modnie.

Biedna kobiecina, podobno młoda i ładna, była zmuszoną nosić grube, czarne, bawełniane pończochy, suknie po pięty i warokocz, wysoko upięty na czubku głowy. Strój taki szpecił ją, postarzał, a przytem robił pośmiewiskiem „przyjaciółek“ i kumoszek.

Ofiara tyranji małżeńskiej znosiła to przez czas jakiś, wreszcie sprzyrzyło się jej, i złożyła sędziemu podanie o rozwód.

Sędzia Graham rozstrzygnął sprawę na jej korzyść i opatrzył wyrok następującym komentarzem:

Mężczyzna, który w naszych czasach zmusza kobietę do noszenia grubych pończoch i długiej sukni, nie zasługuje na to, aby posiadać żonę.

R. C. H.



Pomnik zniwiarłki. Jeden z piękniejszych, a mniej znanych pomników paryskich, przedstawiający kobietę wiejską, pracownicę pól, zbierającą kłosa



Pięciobój w Agrykoli, zorganizowany przez W. O. Z. L. A.
Rzut oszczepem p. Wojnarowskiej

INSTYTUCJE KOBIECE W ANGLJI

Każdy wykształcony europejczyk słyszał i czytał o sufrażystkach. Każdy zna dzieje i ważniejsze osobistości ruchu kobiecego w Anglii, ale napewno niewiele osób wie o intensywnej, gruntownej „pracy u podstaw”, dążącej do uspołecznienia i wykształcenia angielskich kobiet: o działalności „Womens Institutes”.

Nie są to żadne instytuty naukowe, lecz organizacje społeczne, które powstały spontanicznie podczas wojny, pokryły całą Anglię siecią instytucyj w liczbie 3845, liczących dziś setki tysięcy członkiń i połączonych w związki federacyjny.

Świeżo odbyło się w Londynie walne zebranie delegatek związku, na którym złożono sprawozdanie z 12-letniej jego działalności.

Pierwowzór tej organizacji powstał już w r. 1897 w Kanadzie, pod nazwą Instytutów fermerskich. Celem ich było wykształcenie kobiet na fermach w zakresie higieny, wychowania dzieci i gospodarstwa. W r. 1915 przybyła do Anglii wdowa po lekarzu kanadyjskim, pani Watt i ona to poruszyła w Towarzystwie Rolniczem myśl utworzenia Womens Institutes.

W tym czasie w Londynie i większych miastach rozwijał się już ruch kobiecy, w miasteczkach jednak i na wsiach przy wrodzonym Anglikom konserwatyzmie, kobiety wegetowały, odcięte zupełnie od życia społecznego.

Chwila była do działania bardzo sprzyjająca, gdyż wojna wysuwała gwałtowne zapotrzebowanie pracy wspólnej wszystkich obywateli, zorganizowane w Womens Institutes kobiety zajęły się gorliwie palącymi potrzebami chwili, wykazując odrazu, jakie w nich drzemały zdolności do czynu. Pracowały nad wzmoczeniem produkcji gospodarczej, dostarczaniem środków żywności — wszędzie wówczas brakujących, nad przygotowaniem aprowizacji dla armji i dla miast, zwalczaniem lichwy żywnościowej, omawiając jednocześnie swoje bolączki, sprawy ulepszenia gospodarstwa domowego i podniesienia warunków pracy.

Rezultat działalności tych skromnych kobiet, — żon, córek i siostr drobnych dzierżawców, rękodzielniczek i robotnic — był tak wydatny, że rząd angielski, bardzo konserwatywnie zapatrujący się na wszelkie ideowe postulaty równouprawnienia, ale bardzo wrażliwy na realne rezultaty pracy, — odrazu zwrócił uwagę na organizację Womens Institutes'ów. Zostały też one momentalnie wydzielone z Towarzystwa Rolniczego, przy którym powstały, i przyłączone do ministerjum rolnictwa, jako jego wydział pracy kobiet, z oficjalną nazwą „Narodowego Związku Instytucyj Kobiectych”. Wydział otrzymał zupełną autonomję i wydatną pomoc materialną od rządu, a także instruktorów pracy i nauczycieli, organizację kursów hodowli, gospodarstwa, masowe wydawanie książek i broszur, organizację odczytów i t. p.

Po skończonej wojnie działalność Związku weszła na inne tory: odpadły prace aprowizacyjne, a miejsce ich zajęło przygotowanie kobiet do prac samorządowych, szeroka działalność oświatowa i polityczna.

Związek wybudował wspaniały gmach centrali w Londynie, założono szereg bibliotek, domów ludowych, zorganizowano teatry ludowe, kursy ogólnokształcące i gospodarcze, wycieczki po całym kraju i na kontynent.

Obecnie, na zebraniu ogólnem, zapadły wnioski, świadczące o niezmiernie żywej i wnikającej we wszystkie potrzeby życia działalności Związku Womens Institutes.

Postanowiono między innymi: rozszerzenie sieci telefonicznej tak, aby każda wioska mogła mieć telefon, wzmocnienie bezpieczeństwa na drogach publicznych wiejskich, aby, jak się wyraziła jedna z mówczyń, jak za Alfreda Wielkiego — worek z pieniędzmi mógł leżeć na wozie, przez nikogo nieruszony; — konserwowanie zabytków przeszłości i podniesienie, przez odpowiednie urządzenia, zdrowotności i piękności wsi. wreszcie dążenie — drogą odpowiedniej propagandy i działalności politycznej — do zwiększenia udziału kobiet w przedstawicielstwie samorządowem o władzy lokalnej.

Taki jest bilans 12 letniej pracy wieśniaczek angielskich, które, w poczuciu patriotycznego obowiązku, przewyciężyły w latach wielkiej wojny wrodzoną nieśmiałość, konserwatyzm i nieprzygotowanie do życia publicznego i w przeciągu krótkiego czasu zdołały stworzyć i rozwinąć jedną z najbardziej owocnych instytucyj życia gospodarczego i społecznego swego kraju.

12 MILJONÓW KOBIECZKI NIEMIECKIEJ PRACUJE ZAWODOWO

Podług wykazów urzędu statystycznego berlińskiego 12 milionów kobiet w Niemczech pracuje zawodowo. Jest to 36 procent ogółu kobiet w tem państwie. Liczba kobiet pracujących wzrosła tam ogromnie w czasie wojny, i dziś co trzecia Niemka zarabia pracą na swoje, a często i rodziny, utrzymanie. W ostatnim dwudziestoleciu liczba kobiet pracujących podniosła się o 40 procent, gdy odsetek przyrostu pracujących mężczyzn wynosi tylko 20! Najwięcej kobiet pracuje w przemyśle i handlu, dalej w urzędach, w gospodarstwie rolnem i domowem, rzemiosłach i wreszcie w zawodach wolnych, jak nauczycielstwo, dziennikarstwo, medycyna, adwokatura i t. p.

KRÓLOWE I MODA

Z racji zjazdu na dworze angielskim, na którym, na zakończenie „sezonu”, gościły aż cztery królowe: hiszpańska, norweska, holenderska i belgijska, — omawiano żywo w high lifie stolicy osobistą elegancję i stosunek do mody dostojnych gości.

Okazuje się, że najbardziej elegancką i „modną” damą jest królowa Belgji, Elżbieta. Nosi ona krótkie włosy i krótkie sukienki, dzieła mistrzów paryskich. Natomiast młoda jeszcze i bardzo ładna królowa Ewa hiszpańska była dotychczas, narówni z kuzynką swą, królową Aleksandrą angielską, zwolenniczką długich sukien, długich rękawów, wysokich kołnierzyków i długich włosów. Ale okazuje się, że żywy przykład, zwłaszcza ładny, działa fascynująco. Królowe: norweska, angielska i holenderska są już starszemi paniami i zapewne pozostaną przy swych dotychczasowych przekonaniach tualietowych, ale królowa Ewa przechodzi już, podobno — pod wpływem uroku królowej Elżbiety, — na stronę nowej mody, uznając, że nie ubliża powadze monarchini mieć dobrą krawcową i zręcznego fryzjera.

N. J.



Pięciobój w Agrykoli. Jabczyńska uzyskuje pierwsze miejsce w biegu na 100 mtr.

POWSZECHNY FUNDUSZ MACIERZYŃSTWA

Niezmiernie ciekawą propagandę rozpoczęły kobiety amerykańskie w sprawie reformy praw o ochronie macierzyństwa. Wieloletnie doświadczenie wykazało, że tam, gdzie istnieją, — a istnieją już prawie wszędzie. — prawa, zapewniające kobiecie urlop płatny kilkotygodniowy przed i po urodzeniu dziecka, dodatki do zarobków na czas karmienia i t. p. — przepisy te przynoszą z jednej strony korzyść i ulgę, z drugiej strony, jednak, szkodzą niezmiernie kobietom, utrudniając im znalezienie pracy. Wobec ostrej konkurencji i walki o byt, każdy pracodawca ma do wyboru wielką ilość pracowników i z tej ilości woli wybrać mężczyznę, niż kobietę, która — wskutek prawa o ochronie macierzyństwa — jest pracownikiem kosztowniejszym. Jeśli zaś nawet da jej pracę, to obniży zapłatę.

Aby tego uniknąć, aby postawić bezwzględna zasadę równości zapłaty za równą pracę, Narodowa Partja kobiet wniosła, na zjeździe, który odbył się w lipcu w Colorado, projekt powszechnego opodatkowania na rzecz macierzyństwa. Każdy człowiek, mężczyzna, czy kobieta, jakiegokolwiek zajmuje stanowisko, płaciłby, — od chwili ukończenia 24 lat życia, — pewien procent swoich dochodów na „fundusz macierzyństwa”, a wpływy z tego funduszu, łącznie z sumami, przeznaczanymi na ten cel przez rządy państw, byłyby przekazywane częściowo pracodawcom, jako zapłata za dotychczasowe urlopy dla matek, częściowo — na ręce ich samych, jako zapomogi na chorobę i wszelkie wydatki, związane z karmieniem i pielęgowaniem niemowląt.

Tego rodzaju ochrona macierzyństwa, jest, zdaniem członkiń Narodowej Partji kobiet, daleko praktyczniejsza, lepiej zabezpieczająca matkę pracującą, uniezależniając ją zupełnie wobec pracodawcy. Amerykanki odwołują się do kobiet wszystkich krajów o propagowanie tej reformy.

N. J.

ZABIJ JĄ!

Dumasowska sentencja: „tue la!” — zabij niewiarną, — sentencja, która przed laty narobiła tyle hałasu w świecie, obecnie znowu daje znać o sobie.

Odświeżono ją i wyciągnięto z rupieciarni w sposób nie bylejaki, bo pod postacią... projektu prawa.

Oto członek egipskiej Izby Deputowanych, Muhammed Jusuf-Bey opracował projekt prawa, według którego wolno byłoby mężowi zabić żonę, przyłapaną na zdradzie małżeńskiej.

Owa krwawa zemsta ze strony zdradzonego męża nie wystarcza jeszcze okrutnemu prawodawcy: — w projekcie swoim żąda on jeszcze „na dodatek” bezkarności za zabójstwo cudzołóżnej, gdyby je popełnił ojciec, syn, brat, lub nawet wuj niewiernej małżonki.

O identycznym wymierzeniu sobie sprawiedliwości przez zdradzoną żonę projekt nic nie wspomina.

Czyżby w Egipcie mężowie nigdy nie zdradzali żon? R. C. H.



Regaty w Bydgoszczy. Bieg o nagrodę Marsz. Piłsudskiego wygrał Warsz. Klub Wioślarek na czwórkach w półwysięgu.



Regaty w Bydgoszczy. Osada węgerek po przegranej szuka pociechy w wesołej rozmowie

PIERWSZY DOM MATKI I DZIECKA

Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej uczyniło pierwszy krok ku zrealizowaniu sprawy Domu Matki i Dziecka.

Wszczęto mianowicie przygotowania do budowy odpowiedniego gmachu w Młocinach pod Warszawą, w pięknej i zdrowej okolicy. Magistrat miasta Warszawy przyrzekł oddać tam instytucji 20 morgów gruntu, pod budynki i ogród. Projekt gmachu wykonał architekt Czesław Przybylski. Ma to być paropietrowa okazała budowla, przystosowana do współczesnych wymagań higienicznych, a zewnętrznie utrzymana w prostych, nowoczesnych linjach.

Dom Matki i Dziecka, instytucja o charakterze społecznym, ma być schronieniem dla kobiet, które po urodzeniu dziecka wychodzą ze szpitala, lub zakładu, a nie mają własnego domu, ani dachu nad głową. W domu tym znajdowałyby warunki bytu, oczywiście w terminie przejściowym, dla siebie i dziecka.

Ideą instytucji jest, bowiem, nierozłączanie matki i dziecka, a raczej nauczanie matki podstawowych zasad pielęgnowania niemowlęcia. Oczywiście, czynni byłiby tutaj lekarze-fachowcy i wyszkolone specjalnie pielęgniarki.

Sprawa Domu Matki i Dziecka była od lat wielu omawiana w kołach społecznych i miała swe gorliwe propagatorki, zwłaszcza lekarki i społeczniczki, w różnych organizacjach kobiecych, które rozumiały potrzebę takiej instytucji i upominały się o jej powstanie. Poparcie, jakie dziś przychodzi ze strony rządu, jest w głównej mierze zasługą naczelnika wydziału opieki nad dziećmi i młodzieżą w Ministerstwie Pracy i Opieki Społecznej, p. Bronisława Krakowskiego.

Praktyka życiowa, zwłaszcza w epoce współczesnej, wykazuje, jak straszne, często rozpaczliwe i tragiczne bywają losy kobiet samotnych po urodzeniu dziecka. Wychodzą ze szpitala osłabione fizycznie, niezdolne jeszcze do pracy zarobkowej, z psychiką wstrząśniętą niedawnymi przejściami, przygnębione moralnie opuszczeniem i nędzą, w której jedyna ich pociecha, dziecię, jest nowym tylko ciężarem. Zbyt znane są w tych razach akty rozpacz, podrzucenia dziecka, lub jego zabójstwa... Dom Matki i Dziecka ma stać się ostoją i ochroną bezradnych, lub nieszczęśliwych matek z niemowlętami, zanim będą mogły powrócić do normalnego życia i zapracować na swe utrzymanie. Poza higieniczną stroną, z pobytu w Domu Matki i Dziecka powinny matki wynieść i moralne walory, które pozwoliłyby im na dalszą egzystencję w społeczeństwie i wychowywanie dziecka. Atmosfera optymizmu, dzielności, pracy, wesołości, pogody — jest konieczna dla spełnienia tych zadań.

Warto przypomnieć, że jedna z instytucji społecznych „Kolo Pracy Kobiet” założyła przed paru laty rodzaj schroniska dla matek z niemowlętami w Grochowie pod Warszawą. Intencje były niezawodnie szlachetne, lecz wykonanie zawiodło.

Lokal szczupły i nieodpowiedni nie mógł pomieścić więcej, niż kilkanaście kobiet z dziećmi. Brak zajęcia i kierunku wychowawczo-społecznego, oraz ubogie i prymitywne warunki egzystencji — nie rozpraszają przygnębienia i nudy, co stanowiło bardzo ujemną cechę zakładu.

J. K.



TEATR NARODOWY

„Madonna”, komedia w 3 aktach, *Dario Nicodemi'ego*.

Nicodemiu udało się stworzyć jedno arcydzieło wdzięku, prostoty i sentymentu: „Świt, dzień i noc”, i odtąd utarła się opinia, że Nicodemi jest niezawodnym majstrem scenicznym i że jego fabrykaty teatralne można aplikować publiczności z równym powodzeniem, jak sztuki nieśmiertelnej, choć, niestety, już nazawsze rozwiązanej spółki de Flesa i Caillaveta.

A tymczasem... tymczasem „Madonna” napewno pozostała by w koszu teatralnym, gdyby nie to, że jest sztuką Nicodemiego.

Nie słyhać w niej ani jednego szczerego uderzenia serca, choć o to serce, biedne, małe ludzkie serce przecież chodzi. Nie biją pulsa, nie szumi gorąca, żywa krew. Tylko zgrzytają nerwy, jak nienasmarowane śrubki zdezelowanej maszyny, i szeleści papier. Dużo, dużo papieru... Literatura wagonowa. Groza i czar nastroju.

Rezydencja, przerobiona ze starego klasztoru. Dom, przedzielony na dwie połowy kratą, do której podchodzi obłąkana żona i wygraża sztyletem wizerunkowi Madonny, o którą jest zazdrosna. Mąż obłąkanej z jego winy kobiety, rozkochany historycznie w obrazie, rzekomo pendzla fra Filippa Lippi. Wesoła dama, pozująca niegdyś do obrazu swemu kochankowi, malarzowi, który się zabił z rozpacz przed swym dziełem. Plama krwi dotychczas piętnuje obraz. Wielka mistyfikacja, na której robi podwójną karierę uroczą Pirri: życiową — bo zostaje „Madonną” nieszczęśliwego, lecz bogatego Maria, — duchową, bo oczyszcza się z hulaszczej i przedajnej przeszłości przez miłość.

Że „wesołe damy” kończą często swą burzliwą żeglugę życiową pogodnym zawinięciem do patriarchalnego portu małżeńskiego, to jest rzeczą naogół nie dziwiącą już nikogo; że bujne temperamenty i bogate indywidualności urodzonych heter mają przed sobą wszelkie możliwości psychiczne i życiowe, — o tem chyba nikogo przekonywać niema potrzeby.

Ale pomysł nazywania wesołej damy Madonną, zbyt już obnoszony, dzięki „Sleepingowej Madonnie” Dekobry, nie należy do najsmaczniejszych. Wiemy dobrze, jakie kobiety pozowały mistrzom Odrodzenia do ich arcydzieł czystości, niewinności, dziewiczego wdzięku, i zdajemy sobie doskonale sprawę z pogańskiego kultu Dionizosa, jakim było przepojone życie Renesansu. Ale nasze religijne tradycje mają jednak głębsze podłoże, niż u naszych latyńskich współwyznawców, choć nie mamy u siebie katakumb, Colosseum i Grobu Św. Piotra. I dlatego sztuka, którą, podobno, oklaskiwano we Włoszech, u nas pozostawiła raczej wrażenie niesmaku.

Role były obsadzone i wykonane bardzo nierówno. Na czoło wysunęła się pani Zahorska w epizodycznej, ale mistrzowsko wyćielowanej roli matki. Była wykwinną damą, której starość opromienia niewygasła radość życia, jego kult, wyrozumiałość dla porywów młodości, filozofja godzenia się z faktami dokonanymi, granicząca z perwersją. Właściwie mówiąc, i u Nicodemiego jest to jedyny typ konsekwentny, racjonalnie wytrzymany, choć również nieprawdopodobny, jak i ten cały dom warjatów, w którym

jedna jedyna osoba, uznana powszechnie za obłąkaną, ma tyle taktu, że nie mówi. Zato inni mówią obficie i niezawsze ciekawie. Autor starał się być języczkiem u wagi między dwiema szalami: Ibsenem i Pirandellim, a w rezultacie wyszła z tego huśtawka. Taka zwykła, jarmarczna huśtawka, powiewająca różnokolorowymi spódniczkami.

Ale nie poto przecież przychodzi się do teatru. Każdy z aktorów, zwyczajem, przyjętym przez tonących, chwycił się brzytwy pozy i teatralności. Brydziński był doskonałym historykiem, Zelwerowicz, w roli jego brata Piotra, zrobił znakomicie życiowego realistę o głowie byka, a mózgu pisklęcia. Gromnicka w roli Madonny miała szczęśliwe momenty w akcie trzecim, jako uroczą, cieszącą się życiem i pocałunkami, dobra wróżka miłości.

Dekoracje p. Aleksandrowicza trafnie uchwyciły niesamowitość wnętrza.

S. P. O.



Agat Giems-Selmer — „Nad dalekim cichym fjordem” —

Tow. Wydawnicze „Dobre książki dla młodzieży”.

Jest to książka dosłownie pachnąca czystością świeżo upranej bielizny, ukończonych przygotowań świątecznych i prostych serc, osmaganych przez wichur północy.

Tylko w kraju, gdzie zima trwa dziewięć miesięcy — z tych dwa bez słońca — może w tym stopniu rozkwitnąć bujna, samowystarczalny sentyment rodzinny. Ośrodkiem jego jest matka — źródło wszelakich sił i światła tego domu. „Niewiele można o niej powiedzieć — jest tylko matką”. To „tylko” zawiera w sobie cały świat cudownie świeżej moralności. „Matka jest wiecznie pełna nadziei” (dodajmy: miłości i wiary).

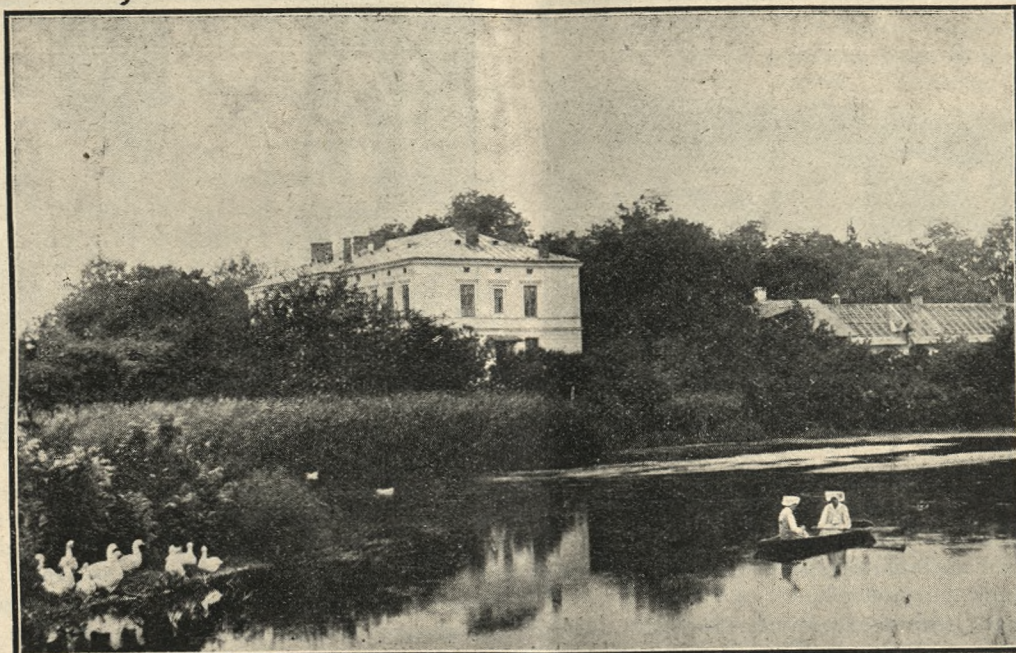
„Kiedy mówi coś takim pewnym głosem, wszyscy zawsze wierzą temu, co mówi”. „I tak się zawsze staje, jak matka mówi — czyż to nie jest piękne?”

Jest piękne. Tembardziej, że jej ogromna, płynąca ze skrajnego przewrażliwienia na wszelką niedolę — dobroć — urasta do rozmiarów światopoglądu. Dobroć tę zasila jeszcze jeden odżywczy strumień — młodości. „Matce nie wolno mówić o tem, że będzie stara”. To też postać ta zasłania sobą mimowoli wszystkie inne: braciszka, małych siostrzyczek — „burzy radości, wdzięczności i zachwytu” — Tordis, a nawet olbrzymią, a niegłośną uczynność mocnego zrębu tej rodziny — ojca.

W rezultacie dom ten — znajdujący swoje zabawne, wzruszające, a jakże wierne odbicie w „domu lalek” — w najmniejszej mierze nie jest zasklepioną w sobie, egoistyczną komórką rodzinną: Jest to raczej wszechświat w minjaturze. — Znajdzie w nim jednakowo gościnne miejsce ogrom macierzyńskiego poświęcenia dla wyratowania zagrożonego ślepotą dziecka, jak i sumiennie, ku dziecinnej uciechu, wykonany „taniec krowy”.

Do wewnętrznej koncentracji rodzinnych przeżyć przyczynia się w znacznej mierze wpływ surowej, na krótko tylko świętem rozkwitu darzącej, przyrody. To też radość, płynąca z tych najczystszych pod niebem pobudek, przetapia się w duszach dziecinnych na tem trwalsze, im bardziej nieuświadomione, wartości

W. B.



Ogólny widok Chyliczek

SZKOŁY GOSPODARCZE

Nie, nie chcę dziś mówić o żadnych „kwestjach zasadniczych“, o żadnych „nowych drogach“, „bojowniczkach“ i wogóle niezwykłych horyzontach kobiecego patrzenia. Pragnę wrócić na chwilę do „przedwojny“, kiedy to atmosfera dworów i dworków była jeszcze przesiąknięta zapachem stuletnich tradycji, i każde prawie gniazdo ziemiańskie miało jakąś typową Mickiewiczowską Zosię, o modrych oczach i płowych włosach, która, daleka od stołecznych mądrości, zamykała cały swój świat w ramach kobiecego gospodarstwa.

Teraz coraz mniej jest takich typów: jedne—wojna i jej kataklizmy wyrzuciły poza obręb możliwości tego rodzaju pracy, ucząc je jednocześnie poczynań odważniejszych i bardziej męskich, (ale, kto wie, czy bardziej pożytecznych), inne—porwał wir dancingów; inne jeszcze pociągnęła poważna nauka, o której dawne sielankowe Zosie myślały, jak o czemś niedostępnym. Tak, czasy się zmieniły, i ludzie również, jednak przeszłość (jeżeli już mamy mówić pompacyjnie) odżyła mi w pamięci, gdy niedawno, w moich podmiejskich włóczęgach, trafiłam do Chyliczek: nie jedna, ale 50 takich przedwojennych Zoś uwijało się tam po podwórkach kuchniach i spiżarniach, w wielkich, nakrochmalonych, białych czepcach, z zakasanymi rękawami, czyniąc gospodarskie cuda i dziwy, na których wyliczanie nie pozwala mi, niestety, szczupłość niniejszego artykułu.

Szkoła gospodarcza w Chyliczkach jest bodaj jedną z najdawniejszych placówek tego rodzaju w Polsce. Założona w 1891 roku przez hrabiankę Cecylię Zyberk-Plater, wypuszcza corocznie zastęp wzorowo przygotowanych do przyszłych obowiązków pań domu, szczególnie wiejskiego domu. Oto jest właśnie dobre określenie. Chyliczki wyrosły jeszcze z tradycji kobiecego królowania tylko w obrębie

własnego „home“, zamkniętego, co najszerszej, oborą i stajnią, więc też kobieta - gospodyni nie jest tam jeszcze traktowana, jako siła fachowa w swoim zakresie.

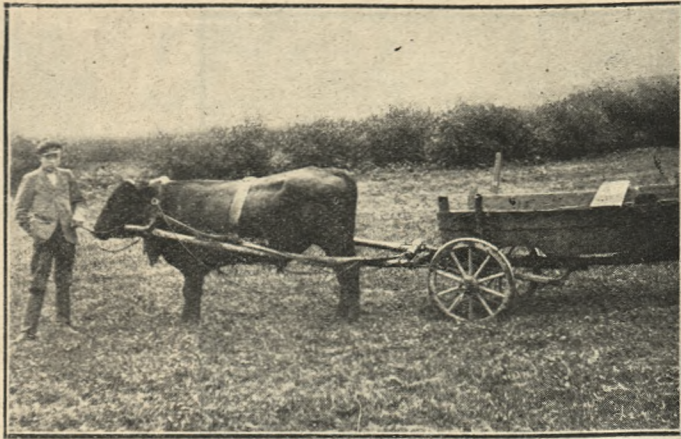
Z tego też powodu i wysoki poziom tej szkoły daje wszystko, co może być potrzebne przyszłej „pani na swoim“.

Mamy tam dwa zasadnicze działy: gospodarstwa zewnętrznego i wewnętrznego. Zewnętrzny—obejmuje hodowlę, ogrodnictwo, pszczelnictwo; wewnętrzny zaś—spiżarnię, kuchnię, przetwory, pralnię porządku domowe i szycie. Obydwa działy są postawione świetnie, powiem: wprost luksusowo,—tak że z równym zachwytem oglądałam śliczne konserwy, marynaty i sery, wyrabiane białymi rączkami Chyliczanek, jak opiewałam wdzięki kur, tak zwanych „polskich zielononózek“, chluby i dumy Chyliczek, których jaja zdobyły jakąś niezwykłą nagrodę, na jakiejś międzynarodowej wystawie.

Ale zapewne niejedna z amatek gospodarstwa chciałaby się dowiedzieć, jakie są warunki dostania się do tego raj. Nic nadzwyczajnego: matura,—ostatecznie, ale już bardzo ostatecznie—świadectwo z 6 klas, 50 zł. wpisowago, 250 miesięcznie. Oczywiście z internatem. Kurs jest, przeciętnie biorąc, dwuletni, lecz zależy to od działu, jaki sobie młoda adeptka sztuki gospodarowania wybierze. Można poprzestać nawet na 3 miesiącach.

Chyliczki, aczkolwiek są jedną z najlepiej postawionych szkół tego rodzaju, nie są jedyne: mamy jeszcze Snopków, Kuźnice, Pniewy, i wreszcie od nowego roku szkolnego ma być otworzony tego rodzaju zakład w Jazłowcu u sióstr Niepokalanek.

Są to jednak wszystkie szkoły, zastosowane do warunków przedwojennych, przeznaczone dla pańien zamożnych, które poprostu chcą, jak zaznaczyłam



Chyliczki: Zaprzęg gospodarski



Chyliczki. Karmienie drobiu

wyżej, przygotować się jaknajlepiej do prowadzenia życia gospodarczego „u siebie”.

Co ma jednak robić cały tłum młodych dziewcząt, które wojna wykołosała, odbierając im nietylko majątki ziemskie,—doskonały warsztat pracy,—ale nawet poprostu ognisko domowe?

Dla tych wszystkich bardzo przyszedł w porę tak zwany „prąd czasu”, dążący do specjalizacji, w najdalej idących kierunkach, i wytwarzający fach tam, gdzie dawniej było amatorstwo tylko. Gospodarstwo kobiece też stało się takim fachem, wcale nie gorszym od innych, a mającym na celu rozszerzenie wiadomości z tego zakresu wśród wieśniaczek. Mówię tu o pracy instruktorek gospodarczych.

Szkół, przygotowujących tego rodzaju instruktorki, mamy w Polsce trzy: dwa seminarja państwowe—w Warszawie i Krakowie,—oraz jedną szkołę prywatną w Rudzie Czechowskiej pod Puławami, prowadzoną świetnie przez Koło Ziemianek. Do szkół tego typu przyjmuje się panienki na zasadzie śwadectwa 6 klas, kurs zaś jest dwuletni, tak samo, jak w Chyliczkach.

Seminarja obejmują tylko gospodarstwo wewnętrzne, od szycia i gotowania, aż do przetworów włącznie; zaś w Rudzie Czechowskiej, dzięki doskonałym warunkom lokalnym, jest również bogato rozwi-

nięty dział zewnętrzny. Jest tam wszystkiego po trosze, tak jak różnorodne są potrzeby gospodarki w chacie wiejskiej. To jest właśnie linją wytyczną programu.

Jedną z najważniejszych zalet szkół dla instruktorek jest ta, że każda absolwentka otrzymuje natychmiast po ukończeniu posadę. Jest to gwarantowane, gdyż instruktorek jest ciągle jeszcze za mało, a potrzeb coraz więcej. Widzimy więc, że rozpaczliwe ślęczenie po biurach, czy urzędach, nie jest jedynym wyjściem dla panien, zmuszonych do utrzymywania się samodzielnego. Mogą pójść w kierunku zamięłowania (bo mam jednak niepełną nadzieję, że zamięłowania gospodarcze nie wygasły jeszcze w tym wieku radja i dancingów)—i dostać dobrą, bardzo dobrą posadę. Przytem koszt niewielki; seminarjum 100 zł. rocznie, szkoła w Rudzie Czechowskiej 60 zł. miesięcznie, ale to już z internatem. Myślę, że to niedrogo.

Na zakończenie chciałam dodać jeszcze, że istnienie wszystkich wyżej wymienionych szkół bynajmniej nie uprawnia nas do pogardzania Szkołą Główną Gospodarstwa Wiejskiego. Jest to, oczywiście, szkoła o poziomie akademickim i daje w pierwszym rzędzie teorię rolnictwa i ogrodnictwa, której w wyżej wymienionych szkołach prawie wcale niema.

Która z pań ma, obok zamięłowań praktycznych gospodarskich, trochę naukowych zdolności i trochę więcej czasu—S. G. G. W. bardzo się jej przyda.

Tak się oto przedstawia nasze szkolnictwo gospodarskie w Polsce. Trochę tego przymało, — szczególnie seminarjów,—ale w każdym razie wszystkie panie, które mają tego rodzaju zamięłowania, niezależnie od warunków materialnych, znajdą i odpowiedni kierunek studjów i, co najważniejsze, teren do pracy.

A dla kobiet, pomimo wszelkich ruchów postępowych i niezależniających, jest to praca bardzo odpowiednia: pod tą, czy inną postacią dąży zawsze do podniesienia poziomu do domu,—tego domu, o którym nigdy nie powinna zapominać żadna kobieta, choćby najbardziej społeczna i niezależniona. Zofja Miszevska.



Chyliczanki przy robocie w kurnikach



KILKA UWAG O KOTACH

Wśród szeregu zwierząt, któremi zwykł się otaczać człowiek — bardzo poważne miejsce zajmuje kot. Wprawdzie przysłowiowy przeciwnik kota — pies — ma ustaloną opinię i zapewnioną przyjaźń człowieka, jednak i kot ma zastępy zwolenników, mimo psot i przykrości, jakie te kapryśne stworzenia czynią dokoła. Zwolennicy kotów pielęgnują je z całą pieczołowitością, lecz rzadko posiadają dostateczne wiadomości, w jaki sposób należy chować te zwierzątka. To też dla tych sprzymierzeńców kotów powzięłem zamiast streszczenia tych kilku uwag.

Kot domowy posiada jeszcze dziś swych przedstawicieli wśród odmian, żyjących dziko. Prototypem naszego kota domowego jest zapewne nubijski kot dziki (*Felis maniculata*), odnaleziony swego czasu w Nubji, na zachód od Nilu, przez Ruppela. Znacznie później napotymano te zwierzątka w całej niemal Centralnej Afryce; między innymi napotymano koty nubijskie w stanie napoły oswojonym wśród tubylców plemienia „Niam-niam”. Zwyczaj chowania kotów w domach przedostał się na wschód z Egiptu, gdzie koty były zawsze w wielkim poszanowaniu. Ze wschodu, przez Grecję i Rzym, koty oswojone trafiły do ludów europejskich. W Europie mamy również dziką odmianę kota, zwanego kotem leśnym, albo żbikiem (*Felis catus*), który jest znacznie większy od kota domowego i zamieszkuje gęstwiny leśne. Żbika łatwo odróżnić od kota pospolitego zdziczałego (bo i tak bywa nieraz), t. j. wałęsającego się dziko po lesie, gdyż pierwszy jest nietylko większy, ale ma nadto bardziej gęstą i puszystą sierść i bardziej draپیzny wygląd. Żbików naogół jest coraz mniej, gdyż są one niemiłosiernie tępione wszędzie.

Kot domowy, który nas najbardziej interesuje, jest naogół bardzo czystym, zgrabnym i miłym stworzeniem. Pochodzi z południa, lubi ciepło i dlatego wygrzewa się na słońcu, lub na piecu. Naogół nie znosi wilgoci, unika starannie wody (nie wychodzi naprz., w czasie deszczu na dwór, a zamoczywszy łapki, ucieszenie je otrząsa i czyści). Nie bacząc na powyższe, potrafi wyłowić z wody rybkę (niebezpieczeństwo dla amatorów akwarjum), a będąc wrzuconym do wody — pływa wcale nieźle. Wrazie niebezpieczeństwa, woli wdrapać się na drzewo, lub jakkolwiek bądź budowlę, niż uciekać po otwartej przestrzeni. Najenergiczniej żeruje nocą, natomiast większą część dnia śpi. Reaguje bardzo silnie na różne zapachy aromatyczne: w niezwykłym podnieceniu tarza się w miejscu, gdzie rozlano krople walerjanowe, lubi zapach mięty, z przyjemnością wyleguje się na świeżym sianie. Z tego względu nawet wskazanem jest używanie świeżego siana, jako posłania dla kotów.

Miłośnicy kotów wyprodukowali bardzo ładne odmiany, względnie rasy tych zwierzątek. Największą popularność zdobyły koty perskie, albo angorskie z długą jedwabistą sierścią, oraz koty sjamskie, albo malajskie, o krótkiej sierści lecz niezwykle efektownie ubarwione. Pozatem amatorzy chowają koty bezogonowe, o skórze czarnej, zwane murzyńskimi, albo gambijskimi, koty chińskie ze zwisającymi uszami, koty cypryjskie z czarnymi stopami i t. p. Wszystko to jednak odnosi się przeważnie do kotów perskich.

Koty rasowe są zawsze poszukiwane i miłośnicy płacą za nie bardzo duże sumy. Zagranicą, a zwłaszcza we Francji, Belgji i Anglii istnieją nietylko licz-

ne hodowle tych zwierzątek, ale i specjalne zrzeszenia, popierające chów kotów rasowych.

We Francji posiada pani Brasard słynną kociarnię, znaną pod nazwą „Chatterie de Maritza”. Koty perskie jej hodowli zdobywają na wystawach pierwsze nagrody i są sprzedawane przeciętnie po 500—600 fr., a okazy wyjątkowo piękne — po 3000—4000 fr. W roku 1925 we Francji liczone 2000 osób, zajmujących się wychowem rasowych kotów. Pierwszą wystawę kotów zorganizowano w Paryżu w r. 1898 w ogrodzie aklimatyzacji; miała ona niebywałe powodzenie. W tymże roku powstało kilka zrzeszeń hodowców kotów z „Cat Club de France” na czele. W Anglii „National Cat Club” powstało dwadzieścia pięć lat wcześniej. W Afryce istnieje również kilka olbrzymich hodowli kotów rasowych — „Cat Farms”, „Kitten Raising Farms” i t. d., które produkują wielkie ilości kociąt rasowych, wysyłanych rokrocznie do krajów europejskich. W Polsce, jak dotąd, hodowla kotów nie jest ujęta w ramy organizacji. Specjalnych wystaw kotów dotąd nie było, prócz nielicznych okazów, zdobiących nasze wystawy drobiarskie. Cóżwada i materiału dobrego mamy jeszcze mało i trudno go odnaleźć; a jednak, miast trzymać koty pospolite, czy nie lepiej byłoby pielęgnować piękne okazy, które tak mile są zawsze widziane? O ile bowiem kot pospolity, a zwłaszcza bezdomny, jest wielkim szkodnikiem, o tyle wypieszczony „angora” stanowi przyjemną i zupełnie nieszkodliwą zabawkę. Potrafi się przywiązać do swej pani i umilić życie domownikom. Chowając jednak koty rasowe, należy się niemi odpowiednio zaopiekować i odpowiednio karmić. Nabywając małe kocięta, należy mieć na uwadze, iż te powinny być uprzednio przy matce do 8-miu tygodni. Karmić kocięta trzeba 3—4 razy dziennie, pomnąc, że mleko i jaja, gotowane na miękko, odgrywają największą rolę. W miarę wyrastania pokarm należy urozmaicać. O ile kocię nie dosięgło ośmiu tygodni, należy do mleka dodawać przegotowanej wody, (najpierw pół na pół, później $\frac{3}{4}$ mleka i $\frac{1}{4}$ wody, wreszcie przejść na mleko całkowite), oraz cukru. Sztuki starsze w trzecim miesiącu, obok mleka i jaj, winny dostawać mięso wołowe, drobno pokrajane, oraz rybę.



Kocięta angorskie

która działa znakomicie na rozwój kociąt i wpływa dodatnio na uwłosienie. Należy również dawać kotom jarzyny gotowane, zmieszane z drobno siekanym gotowanym mięsem i mlekiem. Ponieważ koty nieraz jedzą trawę, chodząc po ogrodzie, trzeba mieć to na uwadze i w skrzyneczkach drewnianych, umieszczonych na oknach, zasiewać trawę. Pani Brassard żywi swe koty makaronem, zmieszanym z drobno posiekanym mięsem wołowym, lub koniną (mięso daje smażone); czasem, zamiast, makaronu daje sucharki, oraz gotowany ryż; jako napój:—przegotowaną i ostudzoną wodę, do której raz na tydzień dolewa wody mineralnej „Vichy“. Oto kilka uwag, które, oby zachęciły nasze czytelniczki do zajęcia się wychowem rasowych kotów. Do tematu niniejszego jeszcze powrócę, aby omówić szczegóły, dotyczące poszczególnych ras i ich pielęgnowania.

M. Trybulski.



PSZCZOŁY

II.

Prócz miodu, pszczoły zbierają jeszcze pyłek kwiatowy i kit.

Pyłek kwiatowy służy im jako zasadnicze pożywienie. Odgrywa on rolę, podobną do roli mięsa, spożywanego przez człowieka. Pyłek, zwany perczą, jest niezbędny dla pszczoł i używany przez nie w wielkiej ilości do przygotowania pożywienia dla młodego pokolenia. Wrazie braku pyłku z jakichkolwiek przyczyn, pszczoły wynoszą z komórek gąsieniczki, nie mogąc ich wyżywić.

Przy zbieraniu pyłku z pręcików kwiatowych, pszczoły posługują się pierwszą, najkrótszą parą nóżek, które, jak już o tem była mowa, zastępują im ręce, oraz szczoteczkami. Nagromadzonym pyłkiem wypełniają koszyczki, zbierając pyłek zawsze tylko z jednego gatunku roślin jednorazowo. Pszczoła, napełniając koszyczki, poddaje się próbnemu lotowi, aby sprawdzić, czy obciążenie nie jest zbyt silne. Jeżeli ma uszkodzone jedno ze skrzydełek, napełnia zwykle koszyczek na nóżce mu odpowiadającej słabiej, niż przeciwny.

Po przyniesieniu pyłku do ula, pszczoła składa go do komórek, ubija główką, a magazynując go na zimę, zalewa miodem i zasklepia woszczyną.

Zbieranie pyłku przez pszczoły odgrywa pomocniczą i bardzo ważną rolę przy zapładnianiu roślin, których pręciki umieszczone są na jednych kwiatach, a słupki—na drugich. Pszczoły przenoszą pyłek z kwiatu na kwiat i przyczyniają się tem samem do obfitości plonu. Jest faktem stwierdzonym, że gryka, np., sypie obficie tylko w pogodne lata, kiedy pszczoły często kwiaty jej oblatują.

Kit, zbierany przez pszczoły z paków drzewnych, którym są oblepione dla ochrony od mrozu, używanym bywa przez nie do uszczelniania uli, wyrównywania wszelkich niedokładności, a czasem i do oblepiania ciał zabitych przez nie szkodników (myszy, trupie główki), których ciała, rozkładając się, zatrująby powietrze w ulu.

Budowa woszczyny odbywa się na podstawie wypacania wosku, które ma miejsce przy temperaturze ponad 30° R., panującej w ulu. Okres ten rozpoczyna się zwykle w maju. Budowanie plastra odbywa się gromadnie. Pszczoły formują długi łańcuszek, złożony z kilkudziesięciu sztuk, i niżej umieszczone podają budowniczym bryłki wosku, w ustach urobione. Budowanie plastrów odbywa się zawsze z góry na dół; plastry, przeznaczone do wychowu pszczoł, złożone są z małych komórek, w których matka składa jajeczka na pszczoły robocze, z większych—przeznaczonych do wychowu trutni, a w razie, kiedy pszczoły mają zamiar się roić, dodają kilkanaście komórek specjalnych, przeznaczonych na chów matek.

Plastry takie są zazwyczaj grubości 26 mm.; tylko, tak zwane, magazynowe, przeznaczone na miód, bywają niekiedy grubsze.

Zmuszanie pszczoł do budowania nadmiernej ilości plastrów odbija się zawsze ujemnie na wydajności pasieki, gdyż dowiedzionym faktem jest, że pszczoła wypaca wosk tylko po bardzo obfitemu spożywaniu miodu i pyłku. Budując woszczynę wczesną wiosną, pszczoły zużywają wosk zapasowy, który, po wycopieniu magazynują na ścianach uli, o ile im jest chwilowo niepotrzebny.

Mieszkańcem ula, korzystającym z pracy pszczoł roboczych, prócz matki, jest jeszcze i truteń. Funkcja trutni polega jedynie na zapładnianiu matek; to też w końcu lata, gdy trutnie spełnią już swą rolę, pszczoły przestają odżywiać ich mleczkiem, przez co trutnie słabną i łatwiej bywają z ula wyrzucane i uśmiercane. W każdym ulu może i powinna się znajdować odpowiednia ilość trutni, wahająca się między kilkuset, a tysiącem sztuk, lecz nie więcej, bo wówczas spożywają nadmiar miodu, ze szkodą dla pasiecznika. Jednak ilość, wyżej podana jest nie tylko potrzebna, ale konieczna, gdyż doświadczenie uczy, że pszczoły, pozbawione trutni, pracują daleko mniej ochoczo.

Trutnie pojawiają się w końcu maja, najwięcej widuje się ich w lipcu. Żyją tylko przez jedno lato.

Pszczoły, dobrze odżywione i zabezpieczone obfitości zapasami, widząc, że rodzina ich powiększa się szybko, i ściany ula stają się dla niej zbyt szczupłe,

T-WO AKC. FR. KARPIŃSKI

poleca

KOSMETYKI Dr. J. ŚWITALSKIEJ

Puder higieniczny we wszystkich odcieniach
Galaretka na łojotok Nr. 1 i 2
Maść na łupież
Krem do rąk
Krem po goleniu w tubkach
Jajeczka do mycia włosów
Płyn do wzmocnienia włosów
Perełki białe i różowe do pielęgnacji biustu i cery

NOWOŚCI SEZONU

Krem cytrynowy na piegi i plamy
Galaretka cytrynowa, wybielająca cerę
Krem poziomkowy dla udelikatnienia cery
Mydło poziomkowe
Mydło cytrynowe
Mydło liljowe

Skład Główny Hurtowy: Warszawa ulica Wolność 9.

Detaliczna sprzedaż: Krucza 31 m. 3.

zaczynają myśleć o rozbiciu się na dwie, lub więcej partyj. W tym celu budują komórki dla wychowu matek i trutni, rozglądają się za odpowiednim miejscem dla nowych rodzin, a matka, szykując się do lotu, przyjmuje coraz mniej pokarmu, aby stać się lżejszą.

Szykowaniu się do rojenia towarzyszy zwykle wielki niepokój. Pszczoły, przed samem wyjściem z roju, prowidują się w miód na drogę, poczem wysypują się masowo z ula. Mniejwięcej w połowie wysypywania się roju, ul opuszcza matka. Siada na gałęzi pobliskiego drzewa i gromadzi dokoła siebie cały rój. Gdy cała gromada zjednoczy się i po odpoczynku nabierze sił do lotu, pszczoły uwiązują się łąpkami haczykowatemi jedna do drugiej, i tak uwiązany rój zrywa się do lotu, ku upatrzonemu zgóry miejscu.

Na rój, opuszczający ul, składają się częściowo pszczoły stare i młode. Pierwszy rój wylatuje w dwa dni po zasklepieniu komórek z poczwarkami, przeznaczonemi na matki. W sześć dni po opuszczeniu ula przez rój wycina się pierwsza matka. Jeżeli pszczoły już dalej roić się nie mają zamiaru, dopomagają jej czynnie do pozabijania innych matek. Przy dalszem rojeniu, młoda matka wychodzi z ula w trzy dni po wygryzieniu się. Na trzeci dzień po wyjściu drugiego roju wychodzi rój trzeci, następne wychodzą już dzień po dniu.

Najsilniejszym jest zawsze rój pierwszy;—drugi bywa znacznie słabszy, trzeci i następne są już zawyczał bardzo słabe, i nie bywa w nich więcej nad litr pszczół, gdy rój silny waży zwykle do 3 kg. i zawiera mniejwięcej 12 litrów pszczół.

Pszczoły, po zawładnięciu nowem mieszkaniem, z wrodzoną sobie skrzętną pracowitością zabierają się natychmiast do pracy. Wciągają szybko otworami do wnętrza, oczyszczają ściany, wygryzają wszelkie nierówności, wyrzucają śmiecie; inne biorą się natychmiast do budowania woszczyny, w którą składają miód, przyniesiony z macierzystego ula. Jedną z pierwszych funkcij pszczół, zagospodarowujących się na nowej siedzibie, jest też budowanie komórek, w które młoda matka zaczyna składać jajeczka, zaraz po pierwszym wylecieniu na spotkanie trutnia.

Jeżeli przy rojeniu się z rojem wyszło więcej matek, niż jedna, co zdarza się nieraz przy ogólnem zamieszaniu, pszczoły dopomagają najwięcej lubianej matce do pozbycia się innych, i matka dopiero wtedy wybiera się w podróż napowietrzną, bezpośrednio po powrocie z której zabiera się do składania jajeczek.

Charakterystycznym objawem jest fakt, że pszczoły, które raz wyjdą z ula macierzystego, nigdy już do niego nie wracają, nawet w wypadku, gdy matka zginie, wylatując na spotkanie trutnia, lub też zabłąka się, co ma miejsce w pasiekach, zapełnionych ciasno ulami, ustawionemi jeden przy drugim. Pszczoły, pozbawione matki, marnieją, rozlatują się po pasiece, ale nigdy, jak już o tem wyżej wspomniałam, nie wrócą do dawnego ula, chociażby miały wyginać z głodu, co ma nieraz miejsce, jeżeli bezpośrednio po rójce następuje długotrwała snota.

Pszczoły już pod koniec lipca zaczynają przygotowywanie zimowego leża. Miód, gromadzony w plastrach magazynowych, układają w górnych komórkach plastrów, umieszczonych na tyle ula, zostawiając zawsze dolne części plastrów, umieszczonych niedaleko wylotu, wolnemi. W tych to właśnie plastrach matka składa jajeczka już w końcu lata, i tu obierają sobie pszczoły miejsce do zimowania. Uszczelniają starannie ul znoszonym kitem, zmniejszają wylot do

minimum, zalepiając go również kitem, a z nastaniem chłódów zbijają się w kłęb na przestrzeni wolnej od miodu, utrzymując wewnątrz tego kłębu temperaturę, dochodzącą do 10° R. wczasie najsroźszej nawet zimy. Taki kłęb, obserwowany zbliska, wykazuje ciągły, miarowy ruch pszczół, które co kilka dni przechodzą z brzegów do środka, gdzie zaopatrują się w zapas miodu, starczący im na kilkodniowy okres czasu; poczem wracają na dawne miejsce.

W takim to, nawpół letargicznym, stanie spędzają pszczoły całą zimę, przesuując się stopniowo w górę, w miarę, jak miód spożywają; jeżeli zaś dojdą do góry plastra przed końcem zimy, skazane są na śmierć głodową, gdyż na najbliższej nawet położony, a nieograny plaster przejść nie mają siły.

Po pobieżnem zaznajomieniu czytelniczek z budową i obyczajami pszczół, przechodzę do zasadniczych wiadomości, koniecznych dla każdego, kto przystępuje do założenia pasieki, na mniejszą, czy też większą skalę. Pierwszym warunkiem potemu będzie rozpoznanie miejscowości.

Pod „rozpoznanie miejscowości“ rozumiem zorientowanie się w tem, czy pszczoły będą miały dosyć wziątku, co jest ściśle zależnem od tego, jakie rośliny kwitną w promieniu conajmniej dwóch kilometrów, i w jakich po sobie zakwitają odstępach.

Najodpowiedniejszą będzie okolica, w której jest dużo sadów owocowych, łąk, obficie kwitnących, lasów liściastych, z przewagą lip, leszczyny; dróg, wysadzonych białą, wonną akacją; pól gryki, koniczyny, rzepaku i seradeli. W tak idealnej dla pszczół okolicy można trzymać do stu pni. Jeżeli wpobliżu pasieki znajduje się zaledwie część wyżej wymienionych roślin, trzeba zadowolić się 50 pniami.

(c. d. n.)

W. D.

BADŹMY PRAKTYCZNE

W organizacji pracy domowej głównem zadaniem każdej gospodyni jest przeprowadzenie całokształtu życia domowego oszczędnie pod każdym względem, t. zn.:—pieniędzy, czasu, wysiłu,—nie lekceważąc przytem wymagań domowników, tyjących się ich zdrowia.

Wymagania najprostsze, lecz najbardziej podstawowe, są tak różnorodne,—zależnie od wieku, stanu zdrowia i usposobienia,—że tylko kobieta, pojmująca doniosłość swych obowiązków i odpowiednio przygotowana, może wytworzyć atmosferę szczęścia swym najbliższymi.

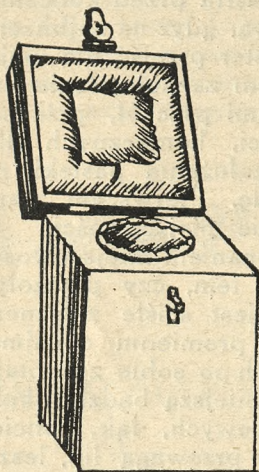
Zagranicą od szeregu lat kobieta przygotowuje się do praktycznego życia w zakresie swych obowiązków domowych i rodzinnych. Liczne szkoły gospodarstwa domowego, z uwzględnieniem nauki o wychowaniu dziecka, przysposabiają kobietę i ułatwiają jej pełnienie szaczących obowiązków matki i gospodyni domu.

My zaś, dalekie będąc od podobnych warunków, trudniejsze jeszcze mamy zadanie. Musimy więc, w miarę możności, zdobywać tę umiejętność, by nie zmarnować bytu moralnego i materialnego bliskich nam osób.

W każdej dziedzinie nauki przez samokształcenie dochodzą ludzie do pomyślnych rezultatów. W dziedzinie pracy domowej, szczególnie w warunkach trud-

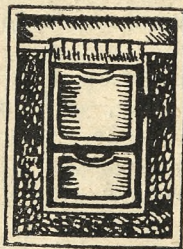
nych pod względem materialnym, obowiązki, nie objęte ładem organizacyjnym, spełniane dorywczo,—pochłaniają kobietę i nie pozwalają na pogłębienie swych wiadomości. Jednakże rezygnować nie powinniśmy. Udzielając sobie rad: — jak zorganizować pracę domową, dzieląc się, przytem, wzajemnie wiadomościami, nabytymi przez doświadczenie,—w wytrwałej, wspólnej pracy dojdziemy do poprawy warunków życia.

W myśl tej zasady, pragnę podzielić się z czytelnikami „Bluszczu” praktyczną wiadomością z dziedziny gospodarstwa domowego.



Dogotowywacz

Dogotowywacz. Przy zastosowaniu dogotowywacza zyskuje się przede wszystkim na opale, gdyż potrawę, wstawioną do tej skrzynki, gotują się we własnej parze od 3 do 6 godzin. Zyskuje się także na tem, że potrawy nie przypalają się i nie wygotowują. Unika się również swędu, który podczas gotowania na blasze zawsze się unosi. Unika się także gorąca zbyt dużego podczas lata. Opóźnienie obiadu nie sprawia gospodyni kłopotu, gdyż potrawa w dogotowywaczu nie traci na smaku, ani też na wartości odżywczej.



Przekrój dogotowywacza

Sposób sporządzenia dogotowywacza. Należy obstałować skrzynkę o ściankach grubości 2 1/2 cm., mocno na kantach spojonych, i z wiekiem na zawiasach. Wieko musi do skrzynki przylegać szczelnie i zamykać ją na skobel, lub zamek. Wielkość skrzynki zależna jest od ilości i wielkości garnków, które się do niej wstawi, (50×35 cm. na jeden garnek, 65×60 cm. na dwa garnki). Sporządzoną skrzynkę wykleja się wewnątrz papierem, szczególnie na szparach i w kątach. Następnie ubija się dno mocno sia-

nem, lub watą drzewną, na wysokość 10 cm., i ustawią się garnki (o ile dwa garnki, to w oddaleniu od siebie o 6 cm.). Potem dokoła garnka (czy garnków) upycha się ścielnie siano, lub watę drzewną. Po dokładnem ubiciu siana dokoła garnka, wyjmuje się go ostrożnie, aby otworu nie uszkodzić. Następnie otwór obja się płótnem, lub perkalem. Przykrywa się to wszystko kawałkiem tegoż materiału, obciąża się i brzegi przybija gwoździkami do krawędzi skrzynki. Potem wykrawa się z przykrycia okrąg, wielkości obwodu garnka, i przymocowuje się brzegi okręgu do brzegów otworu na garnek. Aby wnętrza skrzynki nie zanieczyszczać, pożądanem byłoby uszycie pochewki na garnki. Teraz dopiero można wstawić garnek z gotującą się potrawą. Po wstawieniu należy go dobrze przykryć pokrywką i poduszczać, dostosowaną tak, aby wyrównała poziom materiału, przybitego do krawędzi skrzynki. Na to wszystko kładzie się większą poduszkę i zamyka się ścielnie wieko skrzynki.

WINO OWOCOWE CZERWONE

Dobre wino czerwone, typu win „Bordeaux”, można robić z jagód czarnych z dodaniem czerwonych porzeczek. Na pięć kilo jagód dodajemy jedno kilo porzeczek. Jagody należy przepuścić przez maszynkę „Tutti-frutti”, lub, w braku takowej, przez zwykłą maszynkę do mięsa, i wraz z łupinkami i ziarnkami zlać do gąsiora bardzo dużego, (na tę ilość brać 10 litrowy gąsior). Kilo kryształ urozpuścić w dwóch litrach wody gotowanej i ostudzonej, ćwierć litra matki drożdżowej, przyrządzonej z drożdży winnych „Bordeaux”, i trzy gramy salmiaka (Ammonium chloratum), — to ostatnie, aby ułatwić fermentację. Drożdże winne wszelkich gatunków—wysła Zakład Technicznej Fermentacji Politechniki Warszawskiej, tylko powinniśmy wskazać, z jakich owoców mamy zamiar robić wino. Porcja drożdży, z dokładnym opisem ich użycia, i porcja 3 gramowa soli odżywczych kosztuje 2 złote, które należy przesłać gotówką, lub markami.

Taka taniość i udogodnienie przy wysyłaniu tych drożdży powinny skłonić wszystkich amatorów win owocowych do używania tylko drożdży winnych, określonych zgóry gatunków, tem bardziej, że gwarantują nam one lepsze rezultaty. Przy drożdżach, formujących się samorzutnie w winie, tak zwanych dzikich, nie możemy nigdy zgóry przewidzieć smaku wina. — Kto by jednak, dla jakichbądź przyczyn, sam chciał przyrządzić „matkę” drożdżową, może to zrobić w sposób następujący. Do wymytej i wysuszonej w gorącym piecu butelki, (winna być zatknięta watą) wkładamy ćwierć litra zmiażdżonych jagód, ćwierć litra wody gotowanej wystudzonej, 50 gramów cukru i 0,5 grama salmiaku; mieszamy dobrze, nie przewracając jednak butelki dnem do góry, zatykamy twardym korkiem z waty i stawiamy w ciepłym miejscu, — byle nie na słońcu. Po 48 godzinach płyn się zburzy, a jagody spłyną dogóry, — należy mieszać patyczkiem po dwa razy dziennie, aby opadły. Po upływie 7 dni drożdże są gotowe do użycia. Jak widzimy, należy o nich pomyśleć zawczasu. Po dodaniu matki, gąsior zatykamy korkiem, do którego wstawiamy czop fermentacyjny, lub rurkę szklaną, zakończoną rurką gumową, której koniec wpuszczamy do butelki z wodą;

w czopie fermentacyjnym też może się znajdować woda, lub gliceryna. Pierwszy i druga służyć po to, aby gazy, postające przy fermentacji, mogły się wydzielć. Jeśli jagody dojrzeją jednocześnie z porzeczkami, to należy od razu dodać sok z porzeczek, wyciśnięty na surowo i rozprowadzony po połowie z gotowaną wystudzoną wodą, dodając pół kilo kryształ, rozpuszczonego w wodzie.

Gdyby porzeczek jeszcze nie było, dajemy jagodom fermentować bez nich. Po tygodniu poruszamy mocno gąsiorek, aby łupinki, które uformowały rodzaj czapki, znów pogrążyć w płynie. Po dziesięciu dniach płyn scedzamy z łupinek, łupinki same wyciskamy przez gęste płótno, lub woreczek. Na łupinki można jeszcze nalać pół litra wody, wymieszać, precedzić i dodać do reszty płynu. Gdyby porzeczek nie było, można robić to wino i z samych jagód czarnych. Płyn zlać ponownie do gąsiora, założyć do korka czop fermentacyjny, lub rurkę i trzymać w ciepłym pokoju. Najdalej po miesiącu należy wino zapomocą rurki gumowej ściągnąć z osadu, przelać do czystego gąsiora i postawić już w chłodniejsze miejsce.

Gdy zupełnie przestanie fermentować, przelać do butelek, możliwie do pełna, zakorkować i trzymać w chłodnym miejscu, (około 8° R.). W taki sposób otrzymane wino nie będzie się prawie różniło od wina czerwonego, typu „Bordeaux“. Wiadomem przecież jest, że do wyrobu tych win, oprócz winogron, używa się właśnie czarnych jagód, których całe pociągi latem szły dawniej do Francji z Czarnego lasu („Schwarzwald“), a dzisiaj, po wojnie, idą z Czech, — gdyż stosunki handlowe Francji z Niemcami oczywiście ostygły nieco. Wino takie jest wyborem dodatkiem do herbaty, rozgrzewającym przy przeziębieniu, nadaje się na wszelkiego rodzaju „Glühwejn“ i może służyć jako wyborne wino stołowe. Po sześciu miesiącach można go już używać, lecz prawdziwie dobrem staje się dopiero po roku.

Pani Elżbieta.



ZUPA Z ZIELONEGO GROSZKU

Pół kilo dobrego, cukrowego groszku wyłuskać z łupinek, z których cząstki pergaminowe odrzucić, cząstki zaś miękkie poddusić w łyżce masła i łyżce wody, aż zmiękną zupełnie; przetrzeć wtedy przez sito, włożyć do litra rosółu z cielęciny, kurczęcia, lub nawet kostek, ugotowanych z włoszczyzną. Ziarnka grochu ugotować oddzielnie w osolonej wodzie;

gdy miękkie, wodę odlać, a ziarnka wrzucić do rosółu. Łyżkę mąki zasmażyć z łyżką masła, rozebrać rosółem i nakoniec zaciągnąć zupełną dwoma żółtkami. Do wazy wsypać trochę koperku. Do tej zupy podaje się różne paszteciki, naprzykład naleśniki z mózdzkiem, lub farszem z cielęciny, ugotowanej w rosółu, użytym na zupełną.

KALAFJORY Z RAKOWYM SOSEM

Mendel dużych raków ugotować w osolonej wodzie z koperkiem i zieloną cebulą. Odjąć szyjki i nóżki, wyjąć wszystkie wnętrności, odrzucając tylko pęcherzyk z gorzką cieczą i białe kiszeczki. Wnętrności te usiekać z łyżką koperku, kawałkiem masła, jajkiem i taką ilością tartej bułeczki, aby masa była wolna. Napełnić tą masą skorupki grzbietowe. Resztę skorupki utłuc jaknajdrobniej, przesmażyć z łyżką masła, dolać rosółu, lub wody; gdy masło czerwone spłynie do góry, precedzić cały płyn przez gęste sitko i zrobić na nim sos, dodając zaprażkę z mąki z masłem, zielonego koperku i pół kwaterek śmietany. Sosu powinno być nie mniej, niż dwie duże szklanki.

Trzy, lub cztery duże, białe kalafjory ugotować w osolonej wodzie; gdy miękkie, ułożyć na okrągłym półmisku tak, aby wyglądały, jak jeden ogromny kalafjor. Naokoło obłożyć odgotowanymi oddzielnie, faszerowanymi skorupkami. Szyjki i nóżki dodać do sosu i razem rozgrzać tylko, nie gotując, aby nie stwardniały. Połowę sosu polać kalafjory, drugą połowę podać w sosjerce.

RAKI PO POLSKU

Na osobę brać po pięć bardzo dużych raków, czyli na sześć osób liczyć pół kopy. Wrzucić je na mocno osolony wrzątek z koperkiem i zieloną cebulą, przykryć pokrywą i zagotować. Jak tylko się zaczerwieni, wodę odlać, raki przełożyć do innego rondla, na rozpuszczone w nim masło. Smażyć na wolnym ogniu dziesięć minut. Wlać na to pół kwarty kwaśnej śmietany, wsypać garść zielonego kopru i dużą łyżkę tartej bułeczki. Poddusić na bardzo wolnym ogniu jeszcze dziesięć minut. Podawać w tem samym naczyniu, w którym się dusiły. Nieco kłopotliwe w jedzeniu, gdyż bardzo palce walają, — są wyborne w smaku.

MUS MORELOWY

Ćwierć kilo moreli udusić z taką ilością cukru, masie tej dać wystygnać. Ubić na sztywną pianę pięć białek, dodać morelową masę i ucierać łyżką w jedną stronę, aż masa zbieleje, jak krem. Wcisnąć sok z pół cytryny i jeszcze ucierać. Nakoniec ułożyć w ładną piramidę na półmisku, ubrać wkoło biszkopcikami, wiórkami, lub wafelkami i zaraz podawać, aby nie odwodniał. Oddzielnie podać surową śmietankę, lub mleko.

Pani Elżbieta.

Dr. med. J. ŚWITALSKA

POWRÓCIŁA I ORDYNUJE W CHOROBY SKÓRNYCH I KOSMETYCE LECZNICZEJ OD 5 DO 7.

KRUCZA 31, M. 3.

DOBRE RADY

Przypiski mogą mieć miejsce tylko w listach poufnych — w innych są niedopuszczalne, tak jak kreślenia, dopisywania, górnolotne wyrażenia. List każdy powinien cechować prostota, naturalność, połączona z uprzejmością.

* * *

Na bilecie, lub na papierze fantazyjnym pisze się tylko do osób równych i niższych stanowiskiem nigdy do — wyższych, do których pisząc, pamiętać należy, aby wymienić tak w adresie na kopercie, jak w nagłówku, ich tytuł, lub piastowaną przez nie godność.

KORESPONDENCJE

Pani Kasieńce — Przedewszystkiem nadmieniamy, że na listy anonimowe nie odpowiadamy. Wyjątkowo odpisuję Sz. Pani, nie chcąc zachwiać zaufania, jakie Sz. Pani ma do „Bluszczu”. Prosimy jednak na przyszłość o wyraźne podanie nazwiska i adresu, inaczej bowiem list pozostanie bez odpowiedzi.

Perfумы radzę Houbigant „Quelque fleurs” dla blondynki — „Swelt” Leutherica, dla brunetki — Z krajowych mogą być Laboratorium Chemicznego, albo poznańskie Stępniewicza.

Z tego, co Sz. Pani pisze, widzę, że nie jest jej obca robota lalek — wykonanie zależy od zręczności — najładniejsze są buzie, haftowane na specjalnej trykotynie białej, zlekką kolorowanej. Włosy robi się ze lnu, lub konopi. Lalki gotowe dostanie Sz. Pani u „Henriette”, Mazowiecka 6, ale będą bardzo drogie: tanich nie bywa, jest to bowiem przedmiot zbytku i mody. Nauki wykonania udziela pani M. Ukielska — Warszawa — Sielce — Sułkowska 4.

Tualeta, o której Sz. Pani pisze — bardzo odpowiednia do ślubu. Łóżka niklowe są obecnie tylko używane, niezależnie od innych mebli, które mogą np. być białe, lakierowane, angielskie.

Osobom, z którymi nie łączą nas stosunki bliższej zażyłości, wystarczy postać zawiadomienie przed, albo po ślubie — zależnie od tego, czy Sz. Pani życzy sobie, aby były, lub nie, w kościele na ceremonii.

Sklep, godny zaufania: J. Makowski, Mazowiecka 20, albo pościelowy — Wrotnowski, Plac Saski 1, gdzie wskażą Sz. Pani gatunki materji, używane na kołdry. Polecenia godną również jest firma Tomaszewski i Tarnowski, Marszałkowska 133. Buciki umyć trzeba mlekiem, a po wyschnięciu, oczyścić bezbarwną pomadką.

Pani Z. W. Ujazd. Sądzę, że znajdzie Sz. Pani potrzebną osobę w biurze Jahołkowskiej: Warszawa, Al. Jerozolimska 34. Pozatem w Biurze Tow. Ochrony Kobiet, — Mazowiecka 11. — można też często znaleźć odpowiednią wychowawczynię.

Pani A. G. Staro-Krzepice. Szkoły ogrodnicze są następujące: Warszawa, „Państwowa Średnia Szkoła Ogrodnicza” — kwalifikacje potrzebne: 7 oddziałów szkoły powszechnej, albo 4 klasy szkoły średniej. Nauka trwa 3 lata. Adres: Nowogrodzka 60.

Poznań, Libelta 1. — „Państwowa Szkoła Ogrodnictwa” — 3 lata nauki i praktyka. Potrzebne dla przyjęcia świadectwo z ukończenia 6 klas szkoły średniej i wiek ponad 16 lat. Przy szkole są roczne Kursy Ogrodnicze.

Warszawa, Wiejska 12 — jednoroczne Kursy Ogrodnicze, — warunki przyjęcia: 6 klas szkoły średniej ogólnokształcącej.

Pozatem ogólnych wskazówek ogrodniczych udzielają szkoły gospodarskie: w Chyliczkach, poczta Piaseczno. — w Pniewach, poczta Pniewy, woj. poznańskie, i Snopków pod Lwowem.

* * *

Do Kosmetyki. „Mój Puder higieniczny”, „Moje mydło liljowe”, „Galaretka na łojotok”, „Krem do rąk”, „Krem po goleniu”, „Krem do pielęgnowania cery” (na skórę tłustą i na suchą), „Mój krem na opaleniznę”, „Jajeczka do mycia włosów”, „Perełki białe i różowe” (do pielęgnacji cery i biustu i t. d.) będą wysyłane prenumeratorkom „Bluszczu” bez przerwy w miesiącach letnich.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna	zł. 3.50
suknia zwyczajna	„ 2.50
bluzka	„ 2.00
formy dziecinne	„ 2.00
bielizna	„ 1.50

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrús — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczane w „Bluszczu”, nie wysyłamy.

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych lub przekazem.

„Owoce w moim ogródku“

RADY DOTYCZĄCE HODOWLI OWOCÓW W MAŁYM OGRÓDKU

CENA 1 zł. 50 gr.

Wysyła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Czytelniczkom „Bluszczu” kosztów przesyłki nie liczymy.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

KAŻDA KOBIETA USZYJE I OZDOBI SAMA SWOJA BIELIZNĘ, JEŻELI KUPI KSIĄŻECZKĘ

p. t.

„Wykwintna i praktyczna bielizna“

CENA 1 zł 50 gr.

Wysyła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Czytelniczkom „Bluszczu” kosztów przesyłki nie liczymy.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW
Redakcja i Administracja, Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymarska 8, tel. 244-18.